

18967/6m
ARTUR SCHRODER



OSTATNI
HAMLET

ARTUR SCHRÖDER.

OSTATNI HAMLET

Wydanie II.

LWÓW 1923. — SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE“

02967/6m

L914c

251641

I

Dr. Włd. Ankyler, Nauki
rozr., Smistokrzyk 14.

20.8.64.

15.-16.



Cudny wiosenny poranek. Słońce wszystkie chyba promienie, rozsypane po świecie, cofnęło w siebie i zlało potem na tę małą, pokrzywioną, zbitą mięscinę, nasypało drżącego złota w każdą szczelinę drewnianych, mchem obrośniętych dachów; pozapałało miliony ogników w bagnach i rynsztokach podsycających uliczek; wybieliło spaczone, wilgotne ściany, rozjarzyło mętne, dawno niemyte szybki domów; powyciągało przemocą z pod ziemi niepewne, zdziwione główki nikłej trawy i pierwszych kwiatów w malutkich ogródkach, przytykających do siebie; pokładło się płomiennym obrusem na wielkim, kwadratowym rynku, gdzie piętrowy budynek miejski z wieżą i zegarem wspomina napady Szwedów; w wonnem, nagrzanem powietrzu porozciągało złociste struny, na których zcicha wiatr delikatny wygrywa trzask pękających daleko gdzieś ostatnich lodów, świergot ciągnących z powrotem ptaków, szum modlitewny granatowych lasów i pierwsze szmery zbudzonego do nowego życia miliona drobniutkich, liro-skrzydłych żyjatek.

W powietrzu, jakby kto rozbił kryształową amforę, pełną odurzającego rozhoworu ruszonych wiatrem porannym, rozpękniętych kwiatów...

— No, patrzcie państwo! wiosna, rzeczywiście prawdziwa wiosna. I to tak nagle — mówi do siebie pan Józef Waracz, zastępca sekretarza tutejszego rejenta, zarazem burmistrza i prezesa wszystkich miejscowych stowarzyszeń.

— Aż pachnie, aż pachnie! No i ktoby to był wczoraj powiedział: ha „kwiecień-plecień“.

I pan Józef rozpina szary, odrobinę za krótki, gruby płaszcz, zsuwa wciśnięty za mocno kapelusz z wielkimi skrzydłami, „artystycznie“ podwinętemi po bokach, zwalnia kroku i silnie wciąga powietrze mięsistym, grubym nosem i cokolwiek zadużemi ustami. Może się to tylko tak wydaje dlatego, że górna warga jest wygolona, właściwie raczej teraz obrośnięta ostrym, szpecinowatym, tydzień już niegolonym włosem.

Tajemnica tych golonych wąsów i kapelusza z wielkimi skrzydłami, przestała już dawno intrygować mieszkańców sławnego niegdyś w dziejach, powiatowego miasta, dziś zaś cokolwiek zapomnianego i pogardliwie przez złych ludzi ochrzczonego „przeklętą prowincją“. Pan Józef już od dwu lat piastuje w niem zaszczytny urząd zastępcy sekretarza tutejszego rejenta, (będącego zarazem burmistrzem i prezesem wszystkich miejscowych stowarzyszeń), za co pobiera płacę ośmdziesiąt koron miesięcznie. Z sa-

mego zresztą początku swojego osiedlenia się tutaj, zagadnął go raz ktoś ze znajomych :

— A dlaczego to pan właściwie goli wąsy, przecież to nie po polsku ?

— Widzi pan, każdy szanujący się aktor...

— ? ? ?

— Tak, tak. Każdy szanujący się aktor, choćby bez posady na razie, jak ja, nie je, a wiechy ogolić musi.

— Jakto ?

— Bo ja, proszę pana, jestem z powołania artystą, aktorem dramatycznym. Na razie (słowa te silnie pan Józef zawsze akcentuje) nie mam posady, przeto przepisuję akta notarialne. Ale tylko chwilowo, aż się jakoś stosunki ułożą.

Pan Józef się rozgał:

— Miałem nawet swoją trupe, ale pan wie, teatr prowincjonalny niema jeszcze w społeczeństwie naszym należytego uznania. Trupa się rozleciała, ja zaś, mimo uznania, nigdzie jakoś nie zostałem zaangażowany, no i...

— A, to pan dyrektor...

— Tak, tak. Na razie tu tylko, na razie, łaskawy panie.

Od czasu tej rozmowy całe miasto dowiedziało się o przeszłości pana Józefa i zaczęło go szacownie tytułować panem dyrektorem. Bliżsi znajomi po przyjacielsku, pobłażliwie, znajomi zaś dalsi, to jest ci,

którzy pozycją swoją stanowili miejscową „śmietankę arystokratyczną“, z dziwnym uśmiechem na twarzy i z pewnym specjalnym tonem w głosie. Nie wiedzieć czy pan Józef dopatrywał się czego w tych uśmiechach i akcentowaniu, dość, że twarz miał prawie zawsze pogodną, niesłychaną uprzejmość w obcowaniu, dystyngowany komplement i usłużność aż do przesady.

Wiedziano o tem w całym mieście; prócz tego o starych nawyczkach aktorskich, o dramatycznych ruchach i tragicznym wyrazie twarzy w razie złego przepisanie aktu.

— Powiadam państwu — mówił raz rejent w kole swoich dobranych znajomych — tysiąc pociech mamy z tego starego komedjanta. Kiedyś nie spostrzegł się, że na odwrotnej stronie aktu przepisał sobie jakąś starą rolę i oddał to tak sekretarzowi. Zwracamy mu uwagę na to, a on staje na środku pokoju, rękę kładzie na piersiach, wykrzywia pocieszenie twarz, wypina się...

— Ależ mężu!

— No tak, podaje się naprzód i głosem, jakby mówił przez papierową trąbę, jęczy: „Ach jakżeż mnie to boli, ach panie rejencie, to przez omyłkę; czytałem właśnie przedtem w domu Marję Stuart... Ach, ile tylko w mej mocy, będę się starał to natychmiast naprawić“.

— Swoją drogą musi pan rejent mieć dużo

z nim kłopotu. Nie każdy byłby się zdobył na to i przyjął go. Zaczne serce pana rejenta.

— Tak, te, widzi pani aptekarzowa dobrodziejka, cóż było robić, takie to nędzne przywlokło się z sąsiedniego miasta, gdzie im cały „teatr“, Boże święty, zasekwestrowali. Coś tam wprowadzie dłużej, no ale...

— Pewnie, pewnie, żadna to tam robota. Ale przecież mógł się o coś porządniejszego w życiu wyśtarzać, ma podobno prawie całe gimnazjum.

— Deski teatralne, pani dobrodziejko, to magnes.

— Oj to prawda, ciągnął on i ciebie mężusiu za kulisy.

— To tak... z miłości dla sztuki.

— Ciekawym co się z nią stało — pyta z drugiego końca pokoju pan aptekarz.

— Z kim?

— A z tą pańską „sztuką“. Znałem ją, miała niebieskie oczy, kręcone, krótkie włosy i prześliczne, małe rączki.

— Wieczny dowcipniś z naszego aptekarza. No ale, te, jak mówię, nie miałem serca go nie przyjąć, choć w gruncie rzeczy jest mi zbyt cenny.

— Przecież podobno lepiej pracuje niż jego poprzednik?

— E, kancelarja to nie scena, a jemu ciągle się zdaje, że się po niej kręci.

— Aha! a cóż z tym wieczorkiem, który miał zamiar urządzić?

— Daruje pani aptekarzowa, ale mimo wszystko nie mogłem zezwolić, to jest, te, serdecznie mu odradziłem. Kompromitacja by była i tyle; nie mówiąc już o tem, żeby później przytem i mojej kancelarii nie oszczędzono. Już i tak ten młody wiercipięta adwokacik, który się tu niedawno osiedlił, coś przeciwko mnie knuje. Podobno miał wygadywać, że wyzyskuję starego. Ja wyzyskuję? Boże święty, i to kogo? Socjalista!

— Pewnie, że to krzywda dla pana, ale, o ile wiem, Waracz miał kiedyś grać z powodzeniem; tu też od dwu prawie lat nie było ani jednego aktora.

— Lepiej pani dobrodziejko, lepiej! Zaraz wystawiają jakieś dramaty, te, tragedje, człowiek zaś dość ich ma w życiu. Sztuka wielka rzecz, prawda, ale ja już się przyznam pani aptekarzowej, że teraz to wolę iść na partję wista lub — lub też bodaj do cyrku. Głupie to, bo głupie, ale przynajmniej człowiek zapomni o swoich codziennych kłopotach. Rozumiem popierać sztukę, no ale, te, Boże święty, jest to przecież obowiązek raczej ludzi, których nie gniecie tak, jak nas tu wszystkich, ciężkie jarzmo życia.

— Racja.

— Zresztą, przyzna mi pani, że teraźniejsze sztuki, to takie jakieś... człowiek się męczy, i nic nie rozumie. A już, pożał się Boże, krzty w nich moralności. Przypomina sobie pani, jakeśmy to byli w Krakowie na świętach z wycieczką na tym dramacie

tego... no jakżeż mu tam? — mniejsza o to. Wszystko się kręci, mówi od rzeczy, ręce łamie, wstaje, siada, krzyczy, płacze; ani jednej nawet porządnej toalety. I to ma być sztuka! Już ja tam przy swoim zostanę, że nie ma to jak „Dom warjatów“ lub szillerowscy, „Zbóje“.

— Zbójcy!

— Tak właściwie. Nawet taki stary komedjant jak mój Waracz, zarażony już jest tym prądem. Kiedyś widziałem u niego egzemplarz dramatu jednego z tych właśnie pisarzy, co to same wykrzykniki i tysiąc kropek nalepiają na jednej stronie. Ot, komedjancka dusza, co to nie wie sama czego chce.

„Komedjancka dusza“ pana Józefa tymczasem przez te niespełna dwa lata, czuła się jak w więzieniu. Pokrywał to uprzejmością i nigdy nie znikającym uśmiechem. Nie żalił się i nie gniewał, tylko dziwił się czasem, że nie traktują go tak, jak na to zasłużył. Chwilami znowu buntowało się wszystko w nim; podnosił wtedy wysoko głowę, przypatrywał się przechodniom jak publiczności teatralnej z podwyższenia podium scenicznego, zaczynał jej tak nienawidzić, jak wtedy, kiedy z błazeńskich skoków jego współkolegów ryczała ze śmiechu, w miejscach zaś najpodnioślejszych ziewała, lub z braku czego innego napychała się pomadkami, albo też półgłosem robiła uwagi o przerobionych z wczorajszego przedstawienia tualetach aktorek.

Wtedy też najsolenniejsz obiecywał sobie, że lada sposobność ucieknie stąd i znowu stanie przed budą suflera.

Dla uspokojenia się, stawał przed szybami jedynego w mieście składu ubrań, wybierał oczami najgustowniejszy garnitur, myślami go przymierzał, oglądał na wszystkie strony i wracając do domu projektował już niedługo, to jest wtedy, kiedy uda mu się ubierać jaką taką sumę, tournée artystyczne po większych miastach.

Wystąpi parę razy, przypomni się dawnym znajomym, da szereg deklamacyjnych wieczorów, potem jakoś może skompletuje towarzystwo i... E, mniejsza o to, że od ostatniego zaziębienia głos mu jakoś przycichł, schrypiał, — i na to jest rada.

Z biegiem jednak czasu, chwile takie powtarzały się coraz rzadziej. Na marzenia niezbyt dużo było czasu, bo pan rejent robotę dawał i do domu, z ośmdziesięciu koron jakoś nic nie dało się uskładać. Wina tu naturalnie tylko jego, bo poco ten niepotrzebny, ciągły wydatek na kwiaty, którymi przyozdabiał sobie stół w domu lub też które przez cały rok prawie nosił w butonierce długiego, czarnego surduta. Te kwiatki też niejednokrotnie były powodem uwag i pewnych nadzwyczaj dowcipnych anegdotek, powtarzanych sobie za jego plecami.

— A, pan dyrektor znowu z kwiatkiem?!

— Tak, panie aptekarzu; lubię ogromnie dzieci i kwiaty. Jedne przypominają mi się przez drugie.

— To pewne, z jakiejś roli?

— Co?

— A to zdanie.

Pan Józef staje się jeszcze uprzejmiejszym, twarz rozjaśnia mu szerszy, niż zwykle, uśmiech:

— E, nie!

Jak dalece nim się opiekowano. dowód już choćby w tem, że po cichutku opowiadano sobie o tem, jak to w domu codziennie spirytusem i benzyną czyści swój długi surdut, pamiętający jeszcze lepsze czasy dyrektora, jak często godzinami deklamuje i wywija rękami lub też w malutkiem lusterku śledzi wyraz swej twarzy.

Powoli jednak i do tego się przyzwyczajono; od czasu do czasu tylko, ktoś podpatrzywszy znowu „pana dyrektora“, bawił potem opowiadaniem całe towarzystwo.

Pan Józef, zdaje się, wiedział o tem, że wyrósł na cuda i oryginała; przekonanie jednak, że i tak lada dzień wyjedzie i zacznie występować, nadawało mu ten dziwny spokój i obojętność. „To tak z każdym artystą, który jest nie na swoim miejscu“, mówił często do siebie, „zobaczmy, że jeszcze ci sami ryczeć będą z podziwu“.

Raz, kiedy jedyny jego towarzysz w wycieczkach za miasto, syn sędziego, młody prawnik, robił mu

uwagi, że przecież powinien odciąć się naciągającym go w kancelarji i nie znosić tych ciągłych, uszczypliwych uwag, pan Józef, w tym dniu właśnie cokolwiek więcej zadumany i mrukliwy, odpowiedział mu :

— A niech sobie używają, cóż mi to szkodzi ; ze złości tego nie robią, tylko z głupoty — ot prowincja ! Dla takich aktor to pół-człowiek tylko ; zupełnie jak w średnich wiekach, kiedy to aktorów nie chciano grzebać na poświęconych miejscach. Niedługo już tego jednak ; żeby tak tylko jakoś stosunki się ułożyły. Zresztą, widzi pan, trzymam się doskonałej metody Poloniusza, w stosunku do ludzi, jeśli się na takich małostkach, jak plotki, nie chce swojego talentu, spokoju i zdrowia stracić, że :

„Każdemu ucho podawaj, nie język !
Prawdy przyjmuj od wszystkich, lecz skąpym
Bądź w swoich sądach...”

Przyznać trzeba, że ściśle się rzeczywiście tego trzymał. Po największej części udawał, że nie rozumie tych wszystkich dowcipów i przycinków, w rozmowie był zawsze uprzejmym, jakiś ledwo dostrzegalny tylko, ironiczny uśmiech nie schodził z jego twarzy.

Ot i teraz właśnie, przed chwilą, próbował na nim wprawy swojej w dowcipie tutejszy auskultant sądowy, z którym się spotkał u golarza :

— Pan dyrektor naturalnie wąsów nie myśli zapuścić ?

OSTATNI HAMLET.

Tego autora:

CHWILE, poezje — wyczerpane.

OSTATNI HAMLET, szkic powieściowy, wyd. II.

ECHA, poezje — wyczerpane.

PANI ROKICKA, epizod jednej nocy.

HRABIA, nowele — wyczerpane.

ORLETA, z dziejów walk lwowskich, wyd. III.

ŚLADEM BŁĘKITNYM. O sztuce i jej twórcach.

Z przedmową prof. Pinińskiego.

CZWÓRKA (Batowski, Kwiatkowski, Kurczyński, Ryb-
kowski) Szkice.



— Nie, łaskawy panie.

— Byłoby panu bardzo do twarzy — zwłaszcza, przy tym nosie klasycznym.

— . . .

— Zrobiłby pan miłą niespodziankę całemu miastu.

— Ha, ha.

— Doprawdy! Już się ludziska zanadto przyzwyczaili do pańskiej ogolonej twarzy; byłaby więc znowu malutka sensacja.

— Wierzę mocno, bo jak mówi Goethe: „Chętnie rozumne przyjmujemy słowa, lecz jeszcze bardziej nęci nas obmowa“.

— Ou, nie wiedziałem, że przezacny pan dyrektor tak cięto odpowiada; to jeszcze pewno zabytek z minionych, laurowych czasów? Ale ja tak nie na żarty, zupełnie serjo; słowo honoru.

— Rozumiem, rozumiem!... Moje uszanowanie.

Na dworze zapomina pan Józef o całym zajściu. Cudny poranek.

— Wnet już będą kwiaty; niech tylko tak kilkanaście dni przetrzyma. Ale grzeje...

W pół do ósmej, czas jeszcze do biura.

Wybiera uliczkę wybiegającą w pole, kwadrans tak błądzi, rozgląda się na wszystkie strony, przypatruje się ciemnozielonej oziminie, nachyla gałązki wierzby, zrywa jedną bazię, przypina do surduta. Tak jest ciepło, że ma ochotę zdjąć płaszcz, rozłożyć go

na ziemi, wyciągnąć się do słońca i choć chwilę posłuchać rozzwonionych gdzieś wysoko skowronków.

Nie ma czasu; w niedzielę popołudniu. Trzeba teraz gonić do kancelarii; i tak powinien był być wcześniej, bo stos papierów wczoraj pozostawił.

Na skrócie uliczki, tuż prawie przy domu pana reagenta, coś go uderzyło, bo nagle przystaje: Ogromny zielony afisz, nalepiony na parkanie ogrodu aptekarza. Pewnie jaka licytacja lub ogłoszenie rządowe. Ale skądżeż aż takie duże? Nie... niepodobna... Co?

Pan Józef nagle przyśpiesza kroku; im bliżej jest, tem głośniejsze serce tłuc mu się zaczyna. Tak, wyraźnie, ogromnemi literami, dwa razy podkreślone, z trzema wykrzyknikami, kilka linijek drobniejszego druku, odstęp, potem :

TEATR!!!

Co, jaki, skąd? Tutaj?

I pan Józef nie zważa na błoto, grzęźnie w niem po kostki prawie, przechodzi na drugą stronę, wyciera oczy, jakby go co nagle oślepiło, odstępuje na krok, bo za blisko się zapędził, cały w wzrok się przemienia i czyta :

„Dnia 3. kwietnia b. r. pod dyрекcją Jana Kulskiego, zjeżdża teatr na szereg przedstawień, które rozpoczną się w sali tutejszego kasyna, sławną komedją Michała Bałuckiego p. t. „Grube ryby“. Osoby... ceny miejsc... początek punktualnie...

Panu Józefowi zaczynają litery tańczyć przed oczami, jedna nad drugą wyskakują, gonią się, tłoczą, przewracają, wreszcie zlewają się w jedną wielką, czarną plamę. Stoi tak chwilę, nogi coś nie bardzo silnie oparły się o cegły, któremi wybrukowany jest chodnik, ręce mną chustkę; uspokaja się na chwilę, potem u samego spodu afisza coś się rozjaśnia, wyłania. Czyta:

„Dnia 8. b. m. dana będzie tragedia Willjama Szekspira w 5 aktach p. t. „Hamlet, królewicz duński“.

— A co? niespodzianka! U nas teatr! Fiii! No i cóż dyrektor na to, ha?

Pan Józef przytomnieje, odwraca się i z udanym spokojem odpowiada pocztmistrzowi:

— A jakże, a jakże. I to mój kolega!

— Kto niby?

— Kuliski! Początkował jeszcze na mojej scenie. No i patrzcie...

— Taak? To dyrektor dumny może być z takiego (akcent) człowieka!

— Tak, nie jest on genialny, ale...

— Ale ma swój teatr!

— Umiał zawsze dobrze zakreślić się koło interesu.

— Koleżeńska zazdrość?

Panu Józefowi cokolwiek czerwienią policzki.

— Skądże? Nie mówię przecież, żeby nie miał talentu; owszem, charakterystycznych amantów...

W tragedji brak mu warunków: głos cienki, niska postać. Naturalnie, nie chcę mu ubliżyć, siły ma pewno doskonale, przedstawienie pójdzie świetnie. Ciekawym tylko, jak scenę urządzi, bo ta w kasynie, podobno ogromnie mała.

— No, a możeby tak dyrektor raz nam pokazał co to znaczy grać całą gębą?

Pan Józef wprawdzie nie wie, jak się to właściwie gra „całą gębą“, ale na razie nad określeniem tego niema czasu zbyt się namyslać; bo propozycja pocztmistrza tak go zaskoczyła, że nagle jakby mu coś gardło pakułami zatkało.

— A wartoby, warto! Niech nasze miasto wie wreszcie, kogo ma! No i?

— E, to jest... Zbierało się kiedyś wieńce, bukiety; wiem, że jeszcze dziś...

— Właśnie!

— Dziś jeszcze nie jedenby mi może musiał ustąpić.

— Widać to po dyrektorze; słowo uczciwości, widać!

Pan Józef mimo woli popatrzył w twarz pocztmistrza i w tej chwili jakoś milknie, żegna się z nim i zawraca do kancelarji. Po drodze mówi do siebie:

— Właśnie, że wystąpię, właśnie; zobaczycie wszyscy. No, ale ten Kulisa... Takie to marniutkie było... Nikt na niego nie zważał; gdzieś tam trzeciorzędne role robił... No i tak się wybił. A ja?...

W kancelarji już wszyscy przy biurkach. Spóźnił się. Przechodzi przez pokój, jeszcze grzeczniej, niż zazwyczaj, wita się, kilkakrotnie się kłania, zdejmuje płaszcz, siada przy swoim stoliku obok pieca, rozkłada papiery.

Po półgodziennem pisaniu spostrzega, że leniusek prawie na ukos podłożył, wskutek czego zapisane linijki mają wygląd równi pochyłej; gdzieś z boku dwie czarne, fantastycznie rozstrzepane plamy atramentowe jak dwoje ocz cichych, mrugają na niego złośliwie. A tu taka pilna robota. Ale ten Kulisa!... Trzeba podrzeć i zacząć na nowo. Przekłety kontrakt... Hamleta grają!... Boże drogi, ostatni bukiet dostałem za niego... Znowu plama! Cóż to znowu; ależ to pióro!... Prawda, jak się to Kulisa szpetnie zasypał przy pierwszej swojej większej roli... Data znowu opuszczona; niechże cię. Atrament, jakby kto piasku do niego nasypał. Masz tobie, kleks na mankiecie. Przy tych kontraktach rzeczywiście zupełnie człowiek zidjociał... Ale to styl wspaniały; dziesięć takich arkuszy przepisać, a zupełnie się zapomni, jak się właściwie mówi po polsku... Aha, jak to Kulisa śmiesznie „r“ wymawia — i syczy. Dyrektor!... Liczba 2405 przez...

— Ależ panie Waracz, jakże to pan znowu napisał?! Po obydwu stronach arkusza i raptem jeden kontrakt?!

— Po obydwu str...?

— A tak, tak! No i jak krzywo!

— Ach...

— W dodatku tyle roboty zaległej!

— Najmocniej przepraszam, w tej chwileczce, piorunem to przepiszę.

— Nie ma zaco przepraszać, niechno pan tylko postara się, żeby najwyżej za dwie godziny było gotowe.

— Z pewnością będzie.

— Proszę!

Po wyjściu rejenta pan Józef stara się gwałtem zapomnieć o Kulisie, Hamlecie i swoich występach, i z całym przejęciem, skupiwszy uwagę na leniuszek i skrypty przed nim leżące, zabiera się do pisania.

— Słyszał dyrektor, teatr przyjechał?

— Tak, panie sekretarzu.

— Niebywała frajda, co?

— Podobno już tu przeszło dwa lata żadnej trupy nie było?

— Był jakiś z monologami.

— Taak?

— A jakże! Całymi dniami uganiał z biletami po mieście i kogo mógł to naciągnąć, apotem dymnął po cichu i nie zapłacił woźnemu za odbicie programu na sądowej maszynie hektograficznej.

— Nie wie pan jak się nazywał?

— Ktoby tam nazwisko takiego zapamiętał.

Pan Józef nerwowo ruszył się na krześle.

— Pewnie żaden artysta; od taki sobie...

— Owszem, owszem! Podobno nawet był kiedyś w jakimś większym teatrze. Ale, ale: słyszeliśmy już, że podobno dyrektor ma zamiar występować.

— Jaa?

— No i cóżby w tem dziwnego było?

— Pewnie, że nic. Ale widzi pan, ta scena nie dla mnie; małutka, bez przyrządów... Hm, zresztą...

— No więc! Filut z dyrektora! Widzę już od godziny, że coś tajemniczego knuje.

— E, nie.

— No, no, no! A to przepisanie protokołu! Nie przytrafiło się to przecież nigdy dyrektorowi. No, przyznajmy się, że...

— Widzi pan, tak czy tak, to otwarcie mówiąc, nie miałem nigdy zamiaru tu pozostać. Sam sobie się dziwię, jak mogłem dwa lata zapomnieć o tem...

— O czym?

— Zamiast postarać się gdzieś o miejsce w teatrze, ugrzązłem tu i cały przemieniłem się w bibułę.

— Oho, dyrektor już gra!

— Tak, panie sekretarzu, to grzech przeciwko sztuce.

— Sztuce! hm, hm! Prawda, prawda; artysta, który się w bibułę zamienił i jak ona nasiąkł atramentem...

— Świetnie powiedziane ! Tak też tym atramentem nasiąknę, że chwilami zdaje mi się, jakbym już rzeczywiście krwi nie miał. A szkoda, że mnie tak pan jeszcze kilka lat temu nie widział.

— Mocno żałuję !

— Zna pan przecież nieśmiertelny monolog Hamleta :

„Być, albo nie być... ?“

— Ha, ha, ha — pyszny ruch ! Teraz dopiero widać, co to znaczy golić wąsy ! Ta twarz ! Te oczy... Urodzony Hamlet, jak Boga kocham. Tak tylko musiał za życia wyglądać !

— W ruchach tak, w tej chwili ; tylko to młody chłopak, ale...

— Nic nie szkodzi !

— ...ale przecież charakteryzacja, kostjum. światło kinkietów....

— Trochę waty w łydkach i na plecach, dla wyrównania przygarbienia...

— Pan myśli ?

— Nie, nic nie myślę ; ot tak sobie.

— Zresztą nic nie szkodzi ! Był jeden aktor, Niemiec, który w 73 roku swojego życia tak grał Hamleta, jak go teraz może w całych Niemczech zagrać już nie umieją. Ci młodzi — pan Józef wstał z krzesła — to widzi pan, źle go mojem zdaniem pojmują : zanadto jest płaczliwy lub też zanadto czasem brutalny. Nikt nie widzi w nim tego, co sam

o sobie mówi, a co go przecież najlepiej charakteryzuje, że: „Chociaż nie jestem gwałtowny i prędkie, mam jednak w sobie coś niebezpiecznego“. A ten pierwiastek niebezpieczeństwa polega na tem — jak gdzieś czytałem — że widzi i mówi rzeczy, które są; jasnowidzącym jest i prorokiem...

— Ho, ho! to zakrawa na jakiś wykład, a tu moc roboty. Ale skąd dyrektor wie aż tyle o nim?

Sekretarzowi głos jakoś zmiękł, złośliwe zmarszczki koło oczu ustąpiły.

— Panie łaskawy, toż to moja rola! Zanim się wziąłem do niej, po prostu połykałem wszystko, co mogłem o Hamlecie przeczytać. Moja rola; i na co się to teraz zeszło?

— Jakto?

— Ano, proszę pana, podle to z mojej strony, nieskończenie podle. Złakłem się życia, czy co, diabeł mnie opętał i aż dwa lata beczynnie tu siedziałem, a przecież byłoby się dało gdzie uwiesić, na razie bodaj przy drugorzędnych rolach.

— Pięknie to wszystko, ale... no widzi pan dyrektor, można rolę rozumieć... być może, że się na tem nie znam, ale jeśli się głos straci... starość...

Pan Józef, zdziwiony tonem, jakim tu w kancelarii nigdy prawie do niego nie przemawiano, patrzy wprost w oczy sekretarza.

W tej chwili wielki, okrągły zegar ścienny bije dziesiątą.

— Dla Boga, dziesiąta ! Niechno dyrektor poda papiery, bo sam nie da rady.

Pan Józef nie rozumie skąd się to wzięło, że sekretarz taki dziś uprzejmy dla niego ; zaskoczony jest tem tak, że zbierając papiery, nie może się zdobyć na podziękowanie :

— Panie łaskawy, panie łaskawy, gdzieżbym śmiał, może...

— Niechno pan daje ; we dwójkę na pewno skończymy ; ja mam jeszcze czas ze swoją robotą do jutra.

Pan Józef, wtłaczając się w swój stolik, jest dziwnie jakoś wzburzony ; macza kilkakrotnie pióro w atramencie i myśli :

— Zawsze mówiłem, że to dobry człowiek ; czasem tylko zgryźliwy, ale zacna dusza, zacna dusza !

Po wyjściu z biura, zamiast, jak zwykle, iść na odwach straży finansowej, gdzie się stołował, przechodzi na drugą stronę i znowu kilkakrotnie czyta afisz.

— Jest i Wiechciński ?! Wiecznie zapity „Wiecha“ ! Tego też szkoda ; taki talent i zeszedł na psy. Pewnie znowu, ot tak go trzymają, bo inaczej na żebry by chyba poszedł. Taki aktor, jeszcze dziś, jeśli chce... Ostatni raz, po rozbiciu się trupy, z rozpaczyc mało co się nie powiesił... A przecież swoją drogą ma widocznie więcej siły, niż ja i woli najgorsze role, niż skrobanie piórem gdzieś w zapadłej dziurze prowincjonalnej... Co ? nawet i ta ? No, przyznać trzeba,

że Kulisa nie wybredny! U mnie czegoś podobnego nie było... Tych nie znam.

Pan Józef, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, odstępuje od afisza, obchodzi ogród uliczką, wraca i znowu przed nim staje.

— Miał się gdzie wybrać, aż tutaj! Kto wie... może tak przeznaczenie chciało. Pójdę do niego, omówimy całą sprawę, zaproponuję mu...

Myśl ta tak go przejęła, że ustać wprost na miejscu nie może. Chwilę jeszcze stoi, potem zawraca, idzie na obiad, którego prawie nie je, wraca umyślnie koło afisza, kilkakrotnie tam i napowrót się przechadza, gdyż widzi przy nim aptekarza, potem znowu go odczytuje od pierwszej litery do ostatniej.

— Nawet kiepsko wystylizowany! „Hamlet, królewicz duński, w nowych, oryginalnych kostjumach, specjalnie na ten cel sprowadzonych“. Zupełnie jak anons cyrkowy. Już też Kulisa nigdy smaku nie miał; no i skądby? Zresztą to wszystko blaga... Ale dobrze, my tam może jednak jakoś to zrobimy... Będzie się bał mnie, ale w niczem nie naruszę jego dyrektorskiej mości; będę „u niego“. Na razie tylko, na razie, potem... kto wie! Swoją drogą, żeby tu tak się zakopać? Właściwie nie można było inaczej, a łaścić się i zebrać, nie umiem; co innego Kulisa... Szóstego grają „Trójkę hultajską“; tak, tu pewnie to robi kasę; akuratnie dla nich!

I pan Józef nagle uczuwa taką pogardę dla ca-

łego miasteczka, jakby dopiero teraz poznał ich plotkarsko-filisterskie stosunki, ich docinki i pokpiwania, całe to czcze, bezbarwne, nieużyteczne życie, które o mało co, byłoby i jego pochłoneło.

— „Trójka hultajska“, „Podróż czarownicy na djabelskim ogonie“, „Tajemnice dworu Stambulskiego“, „Siedmiu złodziei i milioner“, „Żoko, małpa afrykańska“ itd., to sam raz dla tych kołtuńskich droboustrojów! A na „Hamleta“ też pójdą, bo to w modzie. Panowie będą zapijali się w bufecie, panie poplotkują sobie w krzesłach, potem recenzja: „Wiecie państwo, wcale dobrze tam dzisiaj wykręcali się na scenie, tylko ta Ofelja! miała sznurówki od bucików poprzerywane i tak szkaradnie powiązane, że aż fe“.

— Pfuj!

Trzeba iść do biura, i tak spaceruję tu przeszło godzinę. No, kto wie, może już i niedługo! A czas by już był najwyższy! Jak można się było tak zapomnieć i ugrzęznąć w tem błocie aż dwa lata? Miesiąc, dwa, aźby się było trafiło gdzie miejsce, lub też aźby można było kupić ze dwa garnitury... Ostatni zabrano za długi: nawet dekoracje! Wiecha zryczał się wtedy jak bawół — naturalnie po pijanemu — bo mu zabrano jego kraciasty kostjum komicznego amanta. Wszystko nic, nawet te dwa lata! Ale zato teraz... Akuratnie dobrze się składa, bo jeszcze przed piętnastym można będzie wypowiedzieć mieszkanie; zostanie więc i coś z pensji. A gdyby tak Kulisa?..

Ech, nie! przecież chyba on więcej znaczy, niż ta cała jego trupa razem! wie o tem! Zresztą zgodzić się na razie można na zwykłe warunki...

— Śliczny dzień; jeszcze takiego tu nie było, I siedźże teraz w ciemnej, wilgotnej kancelarji!

Nie można się dziwić panu Józefowi, bo takie cudne, różowe południe, takie niebieskie, bezchmurne niebo, takie kryształowe, błękitne powietrze i takie ciepłe, dobre słońce, że chciałoby się gdzieś na skraju granatowiejącego z daleka lasu rzucić się na ziemię i wytarzać po żółtych igłach sosnowych, jak faun leśny, który już pewnie z zimowej nory rogi wystawił i lada chwila beknie w głos śmiechem na powitanie wiosny.

Pan Józef wprawdzie ani krzty nie jest podobny do fauna, ale również ma ochotę zaśmiać się lub też zaśpiewać jakiś wesoły kuplet, tak sobie z uciechy, że taki dzień cudny i...

— Nie wiedzieć zresztą, choć myślę, że dla Kulisy to interes! Mam przeczucie, że grywa nieraz takie role, jakichby nie grał, gdyby, na przykład, miał mnie. Żeby tylko to jutro już nadeszło. Ale to robi oczywiście!... Niechciałbym jednak, żeby się wprzód miasto o tem dowiedziało. A gotowi się dowiedzieć; poznają się z artystami, jak to zwykle bywa, gdzieś w restauracji, a jak słusznie mówi Hamlet do Ofelji: „Aktorzy nie umieją niczego utrzymać w tajemnicy; wypaplą wszystko“. Trzeba będzie Kulisę przekonać o tem, że nie-

spodzianka ta tem większą będzie atrakcją... Ale grzeje! czas by był wyciągnąć zarzutkę. E, będzie nowa, będzie.

W drzwiach domu notariusza jeszcze raz ogląda się za siebie:

— Ślicznie, żeby tak bodaj było z tydzień.

Znowu się spóźnił; a tu pełna kancelarja ludzi.

Rozbiera się szybko, składa papiery, bierze skrypt, który miał jeszcze rano oddać rejentowi, kończy go przepisywać, nieśmiało przechodzi do kancelarji rejenta.

— Nareszcie przepisane?

— Przepraszam...

— Już ja się tam domyślam! zielony, wielki afisz — co? Ej panie Waracz! rozumiem, stara żyłka, ale już może dosyć się pan przekonał, że to nędza, jak to, te, mówią błyszcząca nędza. Ani chwili nie myślę, żeby pan na starość...

— Pięćdziesiąt ośm lat, panie rejencie.

— Pewnie te, że żyć długo jeszcze można, ale nie wątpię, że na pana, który się tu już ustaliłeś, zaaklimatyzowałeś, nie robi wrażenia jakaś tam prowincjonalna buda aktorska.

— Teatr prowincjonalny to jedna z potrzeb kulturalnych, pozwolę sobie na uwagę, panie rejencie; właśnie, jeśli jaką, to tę instytucję — jeśli się tak można wyrazić — powinnyby się wszystkimi siłami popierać. Taki teatr, to żywa książka, z której, zwłaszcza ci, co nie mają zbytnio czasu, jasno, przystępnie, w stosunkowo krótkim czasie...

— Ta, ta, ta! Anim nie wiedział, że pan tak umie mówić. Pięknie to wszystko, ja sam sztukę, te, owszem, owszem, ale taką prawdziwą! Ile razy jestem w Krakowie, zawsze prawie jestem na jakimś kawałku. Ale to co innego! Być może, że te, czasem taki teatr, jak ten, jest doskonały, my zwłaszcza chętnie go witamy, bo i tak już diablo nudno. Ale sądzę, że to panu, te, w urzędowaniu nie przeszkodzi; co?

— Pewnie.

— No więc. A proszę ten kontrakt Wronowej przepisać w tej chwili.

— Proszę.

Pan rejent nie może wyjść z podziwu co się z Waraczem stało. Zawsze taki cichy, małowowny, nieśmiały, dziś ożywiony, rozmowny, wyprostowany i pewny siebie.

— Żeby mu się tylko na starość we łbie nie przewróciło! Z aktorami to tak! A taką już z niego miałem wyrękę. Jeszcze gotów tak długo, jak długo oni tu będą, nic nie robić.

— A, kontrakt już gotowy? Tak prędko?

— Zacząłem jeszcze przedpołudniem.

— Dziękuję. Te, chciałem się jeszcze zapytać; to pański znajomy ten dyrektor?

— Tak.

— A ta „Trójka hultajska“ panie, dobra rzecz? Kiedyś masę czytałem, teraz na to niema czasu; najwyżej, jeśli coś wyjdzie nowego, a krytyka chwali,

każę żonie przeczytać, a potem w krótkości opowiedzieć.

— „Trójka hultajska“? — tak, wesola rzecz.

— Ma pan rację, te, z tym teatrem powincjonalnym: postaramy się go tu poprzeć. Chciał pan coś powiedzieć?

— Nie.

— Pan nam tu potem zastąpi krytykę. A jakże! przecież fachowiec! Tak, tak — pan się chyba lepiej na tem zna, niż my wszyscy razem. Ładne powietrze, co? Jakoś może da Bozia, że wiosna wszystkim nam przyniesie co dobrego. Myśleliśmy i o panu.

— ??

— Tak, tak; zasługuje pan na to swoją, te, rzetelną pracę.

— Dziękuję.

— Te, cóżemto chciał powiedzieć — no tak; a proszę tam jeszcze dziś napisać te dwa świadectwa, pan wie?

— Wiem.

Po wyjściu Waracza, rejent znowu niemoże wyjść z podziwu nad jakąś tajemniczą jego miną. Chciał go wszystkimi siłami zatrzymać i wydobyć cośkolwiek z niego. Nie dało się — zresztą nie wypadało tak odrazu.

— Ale, że będę miał z nim kłopot przez ten czas, to jak amen w pacierzu! A jak się to obrazil,

skorom mu o tej budzie powiedział?! Buda, te, pewnie, że buda!

Pan Józef tymczasem cokolwiek się uspokoił; przez parę godzin siedzi jak przylepiony do stolika i pisze. Ukradkiem tylko spoziera na zegar ścienny, kiedy będzie siódma. Sam jest, bo sekretarza gdzieś rejent wysłał. Od czasu do czasu tylko, w przerwie między ukończeniem jednego, a zaczęciem drugiego arkusza, mruczy do siebie:

— „Ja tam sztukę, te, owszem, owszem!“... Tak, chyba sztukę połędwicy. Mecenas!... Ciekawym, o której jutro przyjeżdżają; pewnie rano... Wieczorem zajrzę.

Siódma.

Wieczór, podobnie jak dzień prześliczny; wilgotny chłód przewiewa. Wschodzi księżyc. Ogromna rdzawo-srebrna kula wytacza się na spotkanie gwiazd, co cichą stopką zaczynają przebiegać po niebie. Po dachach sączyć się zaczyna leciuchne pajęczce srebro, ostrym rysem połyskuje na blaszanej wieżyczce ratusza i wraz z mgłami pył mleczny na całe miasto prószy.

Cicho jest...

Pan Józef idzie ulicą i z najdrobniejszymi szczegółami bada każdy załomek dachu, każdy cień i każdy prawie kamień, oblany lśniąca, migotliwą poświatą.

Ten jeden dzień zmienił go do niepoznania. Ruchy niecierpliwe, rozszerzone źrenice, kapelusz pra-

wie całkiem zesunięty na bok. W jasnym świetle wydaje się jakby nagle urósł, wyprostował się, zmężniał; z twarzy nawet ustąpił ten zwykły jego uśmiech, uprzejmość i pewna nieśmiałość. Ktoby mu tak teraz pod wywiniętą kryśę kapelusza zajrzał, mimo woli cofnąłby w półwymienioną jakąś uszczypliwą uwagę lub dowcip, na temat naprzykład jego golonych wąsów lub cokolwiek za wielkiego nosa. Usta mu się mocno zesunęły tak, że tworzą podkowę, kończynami swojemi drgającą na wysuniętej, spiczastej brodzie. Ręce głęboko w kieszenie wtłoczone, płaszcz rozpięty, nastawiony kołnierz. Cienie od tego kołnierza i skrzydeł kapelusza padły mu na twarz, tak, że oświecony jest nos tylko, usta i przód białej koszuli, z pod, cokolwiek już wyszłej z mody, kamizelki.

Co chwila przystaje, wtenczas głowa mu się pochyla, chwilę tak trwa, potem nagle się prostuje, przyspiesza kroku.

Jest już przed swoim domem.

Księżyc tymczasem w pogoni za gwiazdami, które coraz szybciej zaczynają się po niebie rozbiegać, potracił swoje rumieńce i aż posiniał ze zmęczenia; twarz ma bladą, jak opłatek. Bładość ta łączy się z iskrami gwiazd, które niespodzianie, jak kwiaty wiosenne, wykwitają i zlewają się strugami na ziemię.

Pan Józef stoi jak ulany ze srebra; potem przechodzi mały ogródek, otwiera się, wchodzi do swojego pokoju.

Kiedyindziej nie byłby świecił tak zaraz lampy, bo w pokoju jak w zaczarowanej sali. Wszystko z mgły i srebra; malutkie szybki okien mienia się jak najczystsze kryształy, w lustrze cała baśń księżyca, po kątach czai się szary tłum malutkich krasnoludków, które, skoro się wszystko uspokoi, ciżbą wylęgną i zaczną swój bezszelestny taniec w takt z cicha sączących się blasków; pod sufitem muślin pajęczy, prześwietlony topielą mleczną, co strugą rozlała się po podłodze, nabijanej djamentowymi gwoździami...

Pan Józef tego wszystkiego dzisiaj nie widzi.

Zdejmuje szybko z siebie płaszcz, zaświeca lampę, wysuwa szufladę stolika i wyciąga zwój papierów, obwiązanych dość grubym sznurkiem.

Widok tych papierów dziwnie na niego działa; wstaje od stołu i zaczyna szybką wędrówkę po pokoju.

Za oknem coraz się jaśniej robi. Jedna zaledwo część pokoju oświetlona jest żółtym blaskiem małej, zieloną umbrą przyćmionej lampy, reszta tonie w puchu mieniaącego się seledynu, roztrącanego raz po raz połami surduta pana Józefa.

Dobłą chwilę tak spaceruje, brodę ujął dwoma palcami jak Napoleon, brwi zbiegły mu się całe prawie w środek nasady nosa, kości policzkowe silniej wystąpiły; potem siada przy stoliku, rozwiązuje papiery. Na pierwszej kartce u góry jego nazwisko, w środku: „rola Hamleta“. Przerzuca parę stron, które mimo

woli jakoś otwierają się same w jednym miejscu. Pan Józef przebiega po niemi oczami:

„bo ty cierpiąc wiele
Zawsześ był takim, jakbyś nic nie cierpiał,
Boś ty z jednaką przyjmował podzięką
Zarówno ciosy, jak dary Fortuny“...

Panu Józefowi robi się ciepło w górnych kończynach policzków, tuż pod samemi oczami. Na chwilę zdawało mu się, jakby ktoś w głos przemówił do niego temi słowami... Tylko przecież do niego mogło się to stosować... Tak, tak, „przyjmował“!... to jest nic innego mu nie pozostało. Przecież chyba go tu nikt nie rozumiał... „Zawsze był takim“... jakby niczego nie czuł i nic nie rozumiał. Cóż było innego robić? „Ciosy“... no tak, lada kiep pozwalał sobie na dowcipy. Ale jak można było? Aha, a co byłoby się stało? Nie umiał pić jak Wiecha; zresztą, do czegooby to było doprowadziło... „Z podzięką“... tak się już człowiek wzwyczaił w to ciągle kłanianie się i uniżoność. Podle! Nieskończenie podle!

Odchodzi od stołu i znowu zaczyna spacerować. To go trochę uspokaja.

— Ale, żeby tak... Podrażniony jestem, wziąłem do siebie i jak baba... Szelmy nerwy! Swoją drogą dziwne... Kto wie, czy się to tak wszystko nie składa... No, ale to przecież nikczemnie z mojej strony. Jeszcze rok taki, no i coby było? Żadne wykręty! trzeba było uciekać... Wstyd... Trzeba coś skłamać przed nimi... Czyby mi już sił brakło?... Nie! Nie chcieli przyjąć,

no to i co? można się było oszczędzać, chleb jeść i pić wodę, i za dwa, trzy miesiące jechać i szukać. Głupia ambicja grać pierwszorzędne role... Toby też przyszło. A zresztą lepiej kurtynę ściągać, niż tu siedzieć! Choćby się tyle żyło w swoim świecie.

Pan Józef zaczyna wprost już gonić po pokoju; wreszcie znowu siada, otwiera pierwszą kartkę.

Z początku po cichu, potem szeptem, aż wreszcie na cały głos zaczyna rozmowę z Horacym. Odsunął się od stołu, powstał, rumieńce buchnęły mu na twarz. Wreszcie monolog. Stoi na środku pokoju, jedna ręka wyciągnięta, cokolwiek pochylony i ochryłym, śmiesznym głosem roztrząsa tajemnicę bytu.

Jedynym jego słuchaczem to księżyc, który twarz swoją przylepił do szyb; oczy ma nadmiernie rozszerzone, z otwartych ust bucha srebrny śmiech całym potopem, nos szkłem rozplaszczony trzęsie mu się z ogromnej wesołości. Widział nocny hulaka dużo, ale to, na co teraz patrzy, tak go zajmuje, że aż zesunął się umyślnie w sam środek okna, zapomniawszy już nawet o gwiazdach, które gdzieś, z boku, z jasnego płaszcza, garściami kradną mu jego srebrne frendzle.

Monolog się skończył.

Pan Józef zapomniał jakiegoś zdania, podchodzi do stolika. Chwilę jeszcze deklamuje, potem ociera pot z czoła i jakby się wsłuchiwał w milknące echo własnych słów swoich, stoi parę sekund nieruchomo.

— Wyszło się trochę z wprawy. Męczy! Ale dwa lata przecież. Swoją drogą ten ruch! Zazdrościli mi swojego czasu wszyscy... Tak, te dwa palce, potem pół-ruch drugiej ręki... Lekkość; tak, żeby to samo z siebie przyszło — bez pozy. Tu ani krzty pozy nie może być!...

A księżycowi w oknie coraz się więcej twarz rozszerza...

— Albo scena z czaszką!

Pan Józef w zapale porywa ze stołu wielką popielniczkę, kładzie ją na dłoni, opuszcza głowę:

— „Proszę cię Horacy, jedno mi tylko powiedz“.

— „?“

— „Czy sądzisz, że Aleksander tak samo wyglądał w ziemi?“

— „!“

— „I czuć go tak było? Fe!“

Popielniczka z hałasem upada na ziemię...

Ktoby się tak teraz baczniej przypatrzył księżycowi, zobaczyłby, że twarz mu się tak jakoś strasznie wykrzywiła, iż usta łukami dotykają prawie uszu...

Hałas padającej na ziemię popielniczki, mityguje znowu na chwilę pana Józefa.

— Dobrze było! Tylko w scenach wybuchowych z tym głosem! Nie szanowałem się, no i teraz mam. Naturalnie, że to ustąpi. Kompresy, dzień się nigdzie nie wyjdzie, parę żółtek... Ale prawie całego pamiętam. Bo też to się go grało. Swoją drogą przeszło rok nie

miałem tego w ręku. Przeszło rok! Byłbym nawet zapomniał, że leży w stoliku.

I pan Józef, jakby się sam przed sobą chciał usprawiedliwić, mówi:

— Czasu nie było; nawet w niedzielę wieczorem miałem coś do przepisywania. Naturalnie, każdy się mną wysługiwał. To znaczy być nie w swoim świecie! Inspicjent w dzień wystawienia nowej sztuki ma mniej do roboty, niż ja tu ten cały czas. Zwolałem też trochę, zwolałem... Trzeba było przypadku, żeby... Jakżeż to ta scena z Ofelją na przedstawieniu? Aha, hm, hm:

— „Gotówem służyć pani za epilog nawet, byleby tylko było szczęśliwe rozwiązanie“.

— „ “

— „Tak powinnybyście brać sobie mężów. Dalej morderco, zrzuć twą przekłątą larwę i zaczynaj! Już kruk krakaniem do zemsty daje hasło“.

Pan Józef odsapnął:

— Nieźle! Albo:

— „Do klasztoru idź Waćpanna...“

Głos mający naśladować gorzką ironję, zniża mu się tak bardzo, że przechodzi prawie w ochryple skrzeczenie.

— Zaszło mi w gardle. Odwykłem... Jeszcze ta scena, kiedy to Hamlet mówi o matce swojej i ojczymie, całą gorycz i żal tłumiąc w sobie. To jeden z tych punktów, który tak świetnie zawsze się udawał. Siła

ma być, ale znowu bez zbytniego patosu, tak, więcej powściągliwie, boleśnie, z mocą, ale spokojnie:

— „Słabości! nazwisko
Twoje: kobieta! W jeden marny miesiąc
Nim jeszcze zdarła te trzewiki, w których
Szła za biednego mego ojca ciałem,
Zalana łzami jak Niobe — patrzcie! —
Boże mój...”

Znowu coś utknęło w gardle. Pan Józef krzaka, w myśli dopowiada ciąg dalszy, wreszcie głośno kończy:

— „Tak prędko.
Tak lekko skoczyć w kazirodne łóżko!
Nie jest to dobrem, ani wyjść nie może
Na dobre. Ale pękaj serce moje.
Bo usta milczeć muszą”.

Jakby na potwierdzenie tych słów ostatnich, zaciskają mu się rzeczywiście tak silnie usta, że warg prawie nie widać, tylko siną, wąską pręgę. Na czoło wystąpiła szeroka, szara linja nabrzmiałej żyły. Powieki do połowy się przymknęły. Twarz przybrała bolesnokomiczny wyraz. Potem głowa do góry, błyskawice w oczach, potok wartkich, szyderczych słów, przerywanych ohydną, nieznośną chrypką.

Parę minut jeszcze deklamuje pan Józef, następnie zasiada do stolika. Przy końcu roli poprzylepiane wycinki z gazet; prowincjonalnych po największej części. Panu Józefowi twarz się śmieje, to jest kurczy się śmiesznym grymasem, oczy mu się rozbłys-

czały, muszle nosowe drgają, jakby gdzieś, w pobliżu wyczuwały woń szminki, przypalonego korka i kapiących świeczek, poprzyklepianych na stolikach i paczkach z garderobą przed małutkimi lusterkami. Od czasu do czasu nerwowo gładzi się po podłysiałej czaszce, jakby za chwilę miał włożyć czarną, kędziorną perukę lub też skubie klapy surduta, marszczy czoło i obraca się na jeden bok, z oczami utkwionymi w papiery, jak przed zwierciadłem, tuż przed przedstawieniem. Chwilę jeszcze, a w głos krzyknie na małego chłopca, pomocnika inspicjenta:

— Julek, lyku! a żaboty? Mówiłem ci wczoraj, żebyś zaniósł stróżce do odprasowania, muzybaku!...

Z okna księżyc się oddalił, odstąpił na kilka kroków, twarzy mu nie widać, widocznie jednak nie nasycił dosyć swojej ciekawości, bo gdzieś z boku szklą się długie jego, jasne rzęsy...

Trochę więcej żółtych blasków za to rozlało się po izbie.

Szelest przewracanych kart coraz niklejszym się staje, aż wreszcie zapełnie milknie.

Od stału cień długi, nieruchomy, na przypylonej srebrem podłodze się znaczy.

Cicho jest...

W tej chwili, gdzieś od sufitu, zlatuje cały tłum postaci mglistych, dawno gdzieś widzianych, zaczyna się zwijać, latać, krzątać. Ściany się rozszerzają, podnoszą, wydłużają, ktoś ciągle biega, dźwiga kulisy

kolumny, malowane pałace, papierowe drzewa i krzewy, krużganki, przejścia, drzwi, okna, galerje, baszty, słupy, ogrodzenia, przystawki, jest nawet i kanał wenecki z gondolami, które wolno się chwieją na pasach nad wodą z płótna, na którą pada jasne, migotliwe światło zielonej lampy, którą co chwilę ktoś przesłania białą krepą z ponalepianymi na niej „chmurami“.

To znowu wolna okolica, łąki, kawałek stawu, biały, niski domek; lub las odwieczny na zaczarowanej wyspie. Dekoracje się nagle zmieniają: wysokie, obszerne zamczysko, burza szaleje. Drzwi się otwierają ze skowyt, po basztach płaczą sowy, wiatr w załomach jęczy, gdzieś w przepaść z łoskotem kamień zerwany się toczy, chwieją się ze zgrzytem półpodniesione, łańcuchowe mosty, w środku, na murach, wysoka, potężna, biała postać i przyduszony jęk bolesny:

— „Hamlecie!... Hamlecie!“

— „Ojcie!“...

Szelest zapadającej kurtyny...

Gdzieś z dołu, jak łomot usypujących się kamieni, pojedynczo, nieśmiało, potem coraz głośniejsze, potężniejsze, silniejsze, jak trzask walącego się lasu wśród piorunnej nocy, tupot, wrzaski, wołania, oklaski...

Kurtyna się podnosi:

Całe morze nieprzejrzone głów, postaci i migających rąk. Twarze rozgrzane, oczy błyszczące, rozchylone usta.

Łomot się zwiększa, rośnie, szaleje...

W powietrzu zapach kwiatów, czad lamp, woń
potu i perfum.

Tłum się raz jeszcze zakołysał, burza ryknęła
orkanną całą swoją piersią.

Kurtyna powoli się zesuwa.

W budce suflera zagaszono światło...

W oknach niepewny, szaro-żółty świt.

II.

Wreszcie dobrze! skoro pan nie może, proszę nie brać tych papierów do domu; zrobi to pan jakoś przez poniedziałek — prawda? Pewnie! znowu tak gwałtem, te, mi się nie spieszy. Dziś i tak niedziela. Te, cóżem to chciał, aha! ale proszę w poniedziałek cokolwiek przed ósmą. Wesolej zabawy!

— Dziękuję panu rejentowi.

— Zobaczymy się pewnie wieczorem na przedstawieniu.

— Nie wiem jeszcze...

— Jakto?

— Być może...

— No tak, prawda, prawda; będzie pan, te, z pewnością za kulisami. Trzeba się przywitać, rozumiem.

— Prawdopodobnie.

— Do widzenia.

— Chciałem tylko prosić...

— Proszę bardzo!

— Potrzebne mi chwilowo, tak z dziesięć koron; wprawdzie dopiero wczoraj wzięłem, ale na

kilka dni pożyczył odemnie na jakąś ratę gospodarz. Jeśliby jednak...

Panu rejentowi torebki pod oczami jeszcze niżej się opuściły. Pierwszy raz Waracz prosi go o zaliczkę. Zwykle, jeśli sam mu nawet proponował — trafiło się to swoją drogą raz tylko — odmawiał. No proszę?!

— Dziesięć koron? Ale proszę! Zaraz, mam tu przy sobie wprowadzić tylko ośm, ale...

— Wystarczy zresztą, proszę się nie fatygować. Dziękuję.

— Jeśli jednak pan...

— Nie, wystarczy, serdecznie dziękuję.

— Do widzenia, a w poniedziałek, proszę nie zapomnieć!

— Moje uszanowanie.

Pan Józef zamiast na obiad, pędzi do sklepu, wchodzi tylnymi drzwiami, bo to już po dwunastej, wybiera nowiutkie mankiety, wysoki, lśniący kołnierzyk, rękawiczki i wspaniałą krawatę

— Pan dobrodziej chce się przebrać?

— Tak, to tymczasem tu zostawiam; jutro wstąpię.

Ze sklepu wprost do teatru.

Pod kasynem ruch. Właśnie zajechała fura z garderobą i częściami kulisów. Wynoszą kufry, ściągają płóciennę ścianę, drzwi, zmięte drzewa, podklejone siatką drucianą, rulony dekoracyj, zawiniątka.

Kilku chłopaków dźwiga to przez ogród, ciągnie przez sień, ustawia przy drzwiach.

Pan Józef stoi, patrzy, coś go od czasu do czasu jak zimno przelatuje. Nie, jeszcze nie wejdzie. Przechodzi mały ogród. Ho, ho! rozszerzono scenę, odbito drzwi prowadzące na werandę. Pewnie jeszcze wczoraj... Za mało z pewnością krzesel, bo właśnie ktoś na ręcznym wózku przywiózł całą stertę. A to na pewno od Schwarza, meblarza, ten garnitur. Porządny, ładnie będzie przy świetle wyglądał. Tylko ta szafa niezgrabna, za duża!... Ale też to kufer ogromny, pewnie kilku koleżanek razem... Te drzewa wcale jeszcze muszą na scenie uczciwie wyglądać. A jak to ten urwis wlecze po ziemi!... Moc gratów... Już się powoli zaczynają schodzić; pewnie nie ma w mieście co do roboty, lepiej tu, w ogrodzie na ławce wygrzać się w słońcu. Kulisa na pewno zjadł obiad i jest już tutaj; wszystkiego sam dopilnuje. Ma rozum!... Ciekawe, jakie zrobi oczy, bo, że zdębieje...

— Co? Doprawdy, przecież się nie mylę, to on! był jeszcze u mnie pocziwiec! Tak, to „Kaliban“, stary nasz inspicjent.

I pan Józef już teraz ustać nie może. Zbliża się do jakiejś malej figurki, stojącej przy furze.

— Jak się masz Kalibanie?

Drobny człowiek robi ruch lalki sprężynowej, pociągniętej nagle za sznurek. Przez chwilę patrzy,

usta mu się otwierają, gęba coraz mocniej się krzywi, oczy szybko zaczynają latać.

— Jezus Marja! pan dyrektor!

Panu Józefowi głos drży lekko:

— A jakże.

— Moje uszanowanie, padam do nóg; pan dyrektor tu przejechał?

Tymczasem i pan Józef w jednej chwili się zmienia. Pod wpływem tytułu, wypowiedzianego tonem, nie takim, jakim go tu często obdarzano, zapomniawszy o tych swoich dwu latach, zdaje mu się jakby rzeczywiście zjechał w tej chwili na występ, zaczyna się pobłażliwie uśmiechać:

— No, a cóż z tobą stary?

— Ot, włóczę się z kąta w kąt.

— I zadowolonyś?

— Cóż mam robić! Nie było to jednak jak za czasów pana dyrektora.

— Czemu?

— Sam jestem; w dodatku im człowiek starszy tem więcej nim tyrają. A teraźniejszy pan dyrektor ciągle z czegoś niezadowolony.

— Tak?

— A jakże; dobrego słowa to chyba rzadko teraz u nas...

— Wolalbyś ze mną?

Kalibanowi oczy się zaświeciły.

— W tej chwili! I to nie ja tylko! Pan Wiecha, przepraszam Wiechciński, sam słyszałem jak się kiedyś pokłócił z panem dyrektorem i mówił, że dyrektor to pan był, a on jest... Niesłyszałem tylko dobrze końca.

— A co z Wiechcińskim?

— Ej panie dyrektorze, jemu gorzej niż mnie nawet!

— No!

— Popychają nim, przepraszam, sam tak mówi, jak nie wiem czem. A to taki aktor, ho, ho!

Pan Józef się uśmiecha:

— Masz rację stary.

— Jak ja się cieszę, żem pana dyrektora spotkał, jak się cieszę. Przepraszam.

— A rozbijcie mi tam lustro! uważać do diabła!

— Wszystkiego muszę teraz sam dopilnować, bo jak tylko cośkolwiek się zepsuje, odtrąca mi pan dyrektor z pensji.

— Jak zawsze dobrze wyglądasz.

— A przysycha tam na mnie wszystko, jak na psie.

— Ale zdaje się, żebyś teatru nie opuścił?

— Nie! Wychowało się prawie za kurtyną, to i tam na pewno kiedy kiwnę.

— Nic się nie zmieniłeś.

— Gdzie tam! Minęły te czasy, kiedy to się cieszyło z każdego nowego gratu na scenę; robię, bo muszę, ale tak, byle nie słyszeć ciągłego fuka-

nia wszystkich. Jeden tylko pan Wiechciński pozostał artystą jak dawniej bywało, co to i honor ma i talent i szacunek dla ludzi.

— Jeszcze ci się czasy zmieniają.

— Chyba w teatrze na drugim świecie.

— No, no.

Pan Józef odchodzi.

— A pan dyrektor co tu...?

— Zobaczymy się jeszcze stary, zobaczymy.

— Padam do nóg panu dyrektorowi.

— Pan Kuliski jest już?

— Jest, jest. Niech pan dyrektor idzie pierwszą sienią na prawo; tam teraz kancelarja. Akuratnie przyszedł.

— Dobrze. Bądź zdrów.

— Padam...

Pan Józef idzie wskazaną drogą.

— Pocziwe Kalibanisko! ale się postarzał. Jedyny inspicjent! Nikt tak nie umiał pochodzić za rzeczami jak on; srebra nawet pożyczał! a zawsze w humorze. Nie widać teraz tego po nim — nie!

Przed schodami przystaje; coś mu nagle nogi skrepowało. Nie wiedzieć czy dlatego, że stoi w słońcu, ale taki mu się ten jego płaszcz dzisiaj wydaje zniszczony; spodnie wprawdzie nowsze, ale tutejszą modą skrojone. Akuratnie dla Wiechy w charakterystycznej...

Wyciąga malutkie lusterko i jakby pierwszy raz widział twarz swoją i spostrzegł te bruzdy, ten dziwny,

niezdecydowany, lekko przymglony wyraz, oczy wielkie wprowadzie, ale bez połysku i usta sinawe... Namyśla się, lusterko do kieszeni, kapelusz lekko na bok, głowa do góry.

— Do dyrektora tędy?

Jakiś młodziutki, czupurny chłopak, w kolorowej kamizelce, z fantastyczną krawatką, w pelerynie, pokazuje mu ręką drzwi.

— Te pierwsze.

— Dziękuję.

Puka.

Głos wewnątrz :

— Proszę.

Ręka położona na klamce drży lekko.

— Dzień dob... W imię Ojca i Syna! A ty tu skąd? A niechże cię chłopie! Zjawiasz się jak duch Banka.

Zaczynają gnieść sobie ręce. Kuliski z przesadną serdecznością odbiera od niego kapelusz.

— Siadajże, opowiadaj! Mówiono, że podobno pysznie stoisz? Urzędnik! Dobrześ zrobił, nie potrzebujesz się tak obijać, jak ja! Aleś się trochę postarzał.

Pana Józefa jakby coś w boku ukuło.

— Tha, siedzę tutaj.

— Tuuu?

Kuliski zaczyna mu się baczniej przypatrywać; cokolwiek ochłódt.

Pan Józef pod jego badawczym wzrokiem doznaje podobnego uczucia, jak wtedy, kiedy to po raz pierwszy w wytartym surducie przyszedł prosić swego dyrektora o przyjęcie do trupy.

— Tak, tutaj na razie. Nie można było przecież inaczej. Wiesz, dwa lata temu, w pobliskiem miasteczku zasekwestrowali mi budę. Wszyscy się rozjechali...

— Słyszałem.

— Mówił ci pewnie Wiecha?

— Ach ten! — plaga moja!

— Czemu? Trzeba tylko umieć z nim sobie poradzić! tęgi aktor i nadzwyczaj inteligentny.

— Akuratnie! gra wszystko na jedną katarynę.

— Niemożliwe! pamiętam przecież...

— A pije!

— Tak?

— Szkandały mi tylko robi! Trzymam to, bo mnie najeżdżał i żebrał.

Pana Józefa ton Kuliskiego przenika gdzieś aż pod żebrami.

— Ale gra przecież?

— Za darmo chyba nie będę go żywił! partaczy, tam coś.

— Musisz mieć dobre towarzystwo?

— Ujdzie. Ale się naujadam jak pies.

— Dobrze ci idzie?

— Djabła!

W tej chwili spostrzega pan Józef lakiery Kulisy, jego wytworne ubranie, cylinder nowy, pierścień i podwójny, od jednej kieszonki do drugiej przewleczony, złoty łańcuszek.

— Powiadam ci stary, żeś lepszą częśćkę obrał — epszą dalibóg.

Pan Józef skrzętnie chowa wykrzywione cokolwiek obcasy od butów poza nogę stołka.

— To zamień się ze mną.

— He, he, he — dobryś! Tyle się przeszło tarapatów.

— A ja?

— To co innego!

— Dlaczego?

— Stary jesteś, styrały, zresztą, mój drogi, ostatecznie i ty mogłeś się utrzymać. Choć znowu przyznaję ci rację, lepiej zrobiłeś, żeś się cofnął.

— Czemu?

— Widzisz, jak ja zakładałem trupe, nie robiłem tego bez centa.

— Ej, Kulisa!

— Pod Bogiem! Dziś bez tego ani rusz! Istnieje dlatego tylko, że mogę czasem poforsować.

Kuliski wydał usta, zgrabnym ruchem zdejmując jakąś nitkę z aksamitnych klap surduta.

— Sam dużo grywasz?

— Tak, dosyć.

— Masz kogoś — wybitniejszego?

— Wyrobiło się kilku przy mnie.

Kuliski poprawia wstążki od krawatki.

— Pamiętasz Kulisa, jakieś to ze mną...

— Tak, tak; teraz jednak nowe są sztuki, inaczej grać trzeba.

— Nowe sztuki? a rzeczy klasyczne, te przecież się nie zmieniły?

— Naturalnie, ale — no widzisz, nowy zwrot...

— W czym?

— Jakby tu powiedzieć, w pojmowaniu.

— Tak? Przecież chyba Szekspira, Goethego, Moliera...

— E, dużoby trzeba gadać; teraz coraz więcej od teatru wymagają.

— Jednak zdaje mi się...

— Wiem, wiem; to ci się tak tylko rzeczywiście zdaje.

Kuliski nie wiedzieć dla czego tak nagle chłodnie, że pan Józef nie może się domyśleć, co mu się stało. Chwilę milczą.

— Świetnie wyglądasz; ile ty masz lat właściwie?

— Czterdzieści.

— Zdawało mi się, że więcej. Choć prawda, wtenczas, kiedym ci proponował, no wiesz, byłeś wtedy moim sekretarzem, kiedym ci proponował, żebyś mi „ty“ mówił...

Pan Józef nie kończy, bo miesza się okropnie jakimś dziwnym wyrazem twarzy Kulisy.

Znowu przez chwilę kłopotliwie milczy.

Kuliski wyciąga szufladę od stolika i czegoś w niej szuka.

— Nie masz czasu, a ja ci tu siedzę na głowie.

— Tak, zajęcia dosyć; mam jeszcze gwałtowny list.

— Idę.

— Nie przeszkadzasz mi. Posiedź jeszcze trochę.

— Będę wieczór.

— No naturalnie. Potem będzie więcej czasu. Będziemy się chyba codziennie widzieli?

— Być może.

— Jakżeby inaczej? Przecież cały dzień nie siedzisz w biurze?

— Pewnie.

— Więc!

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Kuliski odprowadza go do drzwi.

Pan Józef przechodzi sień, zatrzymuje się chwilę w ogrodzie, jakby się nad czymś namyślał i zaczyna powoli piąć się stromą uliczką, prowadzącą do rynku. Głowę cokolwiek na dół zwiesił, ręce ciężko opadły mu po bokach. Idzie tak i znowu swoim zwyczajem zaczyna głośno myśleć:

— Nie mogłem jakoś! choć to prawie mój uczeń. Był zresztą rzeczywiście zanadto zajęty. Na to potrzeba stosowniejszej chwili. Jutro! Spodziewałem się swoją drogą...

W tej chwili prawie, że naszedł na kogoś. Podnosi głowę.

— Wiecha!!

— Per Baccho! Waracz! Waraczysko, jak nos swój szanuję!

— Jak się...

Zaczynają się ścisnąć.

— No, wiesz, wszystkiego się spodziewałem, raczej, że zostanę oficerem papieskim, niż, żebym cię spotkał w tej norze przeklętej, gdzie nawet uczciwego piwa niema.

— Idziesz do teatru?

— Ani mi się śni! Wyszedłem z obiadu i gonię po mieście, żeby się te świńskie mydliny jakoś w żywocie ułożyły. Jakżesz ty tu żyć możesz człowieku? No i ta „restauracja“; pewnie śmierdzą cebulą na kilometr! Ale co z tobą słyszeć, chłopie? Pokaż jak wyglądasz. Chudyś jak nauczyciel ludowy — no i ta mina! Gadajże!

Zaczynają się bezładne pytania i odpowiedzi, cała długa historia dwu lat, streszczająca się w krótkich, nawzajem sobie przerywanych zdaniach i wykrzyknikach. Waracz na widok Wiechcińskiego zmienił się: twarz mu się ożywiła, oczy się rozjaśniły. Chodzą pod ramię po ulicy i głośno rozmawiają. Waracz wyspowiadał mu się ze wszystkich swoich przeżyć, Wiecha naprzeklinał świat i dyrektorów.

— Słuchaj Waracz, zamiast błąkać się po ulicach, zaprowadź gdzie do uczciwej knajpy; będzie można lepiej pogadać.

— Wszystkie zamknięte. Można wprawdzie tyłem do jednej...

— No więc.

— Ale ta też nieszczególna.

— Pal djabli! przecież jakiegoś sznapsa mają.

— Nie piję.

— Przesąd! Szekspir gdyby żył, toby pił! Nie bój się, kapkę tylko, bo mi z pytlowania wściekle w gardle zaschło. No! Allons enfants!

Skrecają w bok i wchodzą tylnem wejściem do restauracji „pod złotym jeleniem“.

W pierwszym pokoju, niemożliwie zadymionym, siedzi kilku woźnych i strażak miejski.

— Zaczne towarzystwo! — mruczy Wiecha, przechodząc do drugiej izby.

Tu niema nikogo. Okna od ulicy pozastłaniane storami, przez które sący się pyłem wiosenne, młode słońce. Kilka stolików nakrytych kolorowymi obrusami, w rogu kanapka wyplatana, na ścianach ogłoszenia browarów i zielony afisz teatralny.

— Wcale harmonijna mordownia! Jak się pan ma, panie, jak tam pana przy obrzezaniu nazwali.

— Salomon.

— Salomonie chytro-oki, dwie w kratki.

— ? ?

— Prawda, że wy tu nie znacie języka cywilizowanych. Dwie większe mieszane.

— Wódki?

— Zgadłeś potomku mędrców wschodnich.

— Przekąski?

— Życzę ci do nich smacznego apetytu, Shyloku. Poczekaj, może ty Waracz?

— Dobrze. Chleb, masło i ser.

Gospodarz po chwili przynosi wódkę i przekąski; uśmiecha się przyjaźnie:

— Dałem okowity z rumem i z wiśniówkiem.

— Zrehabilitowałeś bracie honor miasta! zupełnie po wielkomiejsku. Skąd ty to umiesz? No i nie prawda to, że największe talenty marnieją po prowincjach!

— Trzeba coś jeszcze?

— Czekaj! Zdrów Waracz! Przynieś jeszcze raz tak, tak, nic z tego mój drogi, napijesz się jeszcze, napijesz! Jeszcze dwie i dwie bomby.

— Daj spokój, wiem, że nie pijesz, ale ta odrobina przecież ci nie zaszkodzi.

Pan Józef z trudem przetyka drugi kieliszek, następnie prędko zajada chlebem i serem.

Na chwilę rozmowa się urwała; pan Józef je, Wiech kręci papierosa, zapala go. Kłęby niebieskawego dymu prześwieśla złoty pył słoneczny.

Z sąsiedniego pokoju brzęk szklanek i ożywiona rozmowa rozłukuje się echem po mrocznych kątach

— No i?...

— Zawsześ wesoły, Wiecha.

— Podejrzewają mię też, że czasem nie tego...
Ruch okrągły palca po czole.

— Kulisa robi ze mnie błazna, niedołęgę. Nie ma innej broni, jak tylko kpić sobie z tego i z całego świata! Pewnie, głupiec jestem, żem się tak przez niego dał wykiwać a jeszcze muszę być uprzejmym... Ale widzisz, słodki głupiec, może być także i cierpkim głupcem; albo raczej zgorzkniały głupiec nie mógłby znieść całego ogromu głupoty tego życia, gdyby się z niego nie śmiał.

Pan Józef baczniej zaczyna mu się przypatrywać i nagle spostrzega jak Wiecha fatalnie się postarzał i zmarniał.

— Jakto Kuliski?...

— Tak widzisz, ma przy sobie aktora, który się na jego szachrajstwach i małpich skokach rozumie; chciałby się też mnie pozbyć za wszelką cenę; teraz jeszcze nie, ale już wkrótce; szuka też powodu. Ja zaś muszę się go trzymać; wyleje mnie, to cóż zrobić? Jedyne teatr prowincjonalny! Do głównego, powiedzmy sobie szczerze, mój stary, za późno dla nas. Boli to, ale prawda.

Obaj zwieszają głowy.

— Przy mnie się jako tako ogładził.

— Pewnie, że przy tobie; małpuje cię też na każdym kroku.

Panu Józefowi tak przyjemnie tego słuchać, że pyta :

— Małpuje, powiadasz ?

— Jak orangutan. A gra ! Z turoniem mu chodzić i z szopką, a nie dyrektorować !

— Sam pewnie dużo grywa ?

— Wszystkie najlepsze role bierze, nawet moje.

— Jakżeż to się więc stało, że został dyrektorem ?

— Ciotkę okpił, naciągnął kogoś i koncesję sobie wylokail — i to jeszcze jaką !

— Kogo on tam ma właściwie.

— Aż wstyd mówić ! Kilku urwipolciów, ex-pisarzy, parę szmat i tyle ! Primadonną to ta, niby widzisz, Dulińska. Pindulińska szelma się nazywała i jeszcze niedawno zadzierała pod lampy kopyta w colosseum. Pani dyrektorowa ! psia krew — a mnie traktuje czasem jak swego inspicjenta. Raz już miałem chętkę, tak przy wszystkich, zaproponować jej powrót do koloseum i przypomnieć jej czasy, kiedy to za szklanek piwa i kolację, można ją było po... plecach poklepać ; ale dobrzem zrobił, żem dał spokój. Byłbym chyba z torbami poszedł.

Milczą. Wiecha nagle spochmurniał, humor go opuścił.

— Trzyma mnie, bom mu jeszcze potrzebny, ale niechno...

— Nie pij, grasz pewno dzisiaj.

— A gram, gram ! Trzy kartki całej roli, tfu !

Znowu cisza.

W pokoju coraz mroczniej; słońce przesunęło się za komin naprzeciw stojącego domu.

Gospodarz wnosi świecę w szklanej umbrze.

Wiecha próbuje znowu żartować, ale to mu się już jakoś nie udaje:

— Błogosławiony bądź synu Izraela, światło wnoszący!

— Może czegoś potrzeba?

— Tego, czego nam trzeba, ty dać nie możesz!

— Ojoj, wszystko mam.

— No to tak, raz na stół uczciwego dyrektora i porządną rolę.

— ? ?

— A widzisz, zacny posiadacz krętej brody! Żyd się ośmielił.

— Panowie tu z tyjatrem?

— Z menażerją.

— Wielmożny pan żartuje.

— Jak twoich gości szanuję! Prócz tego karuzel i amerykańska huśtawka. Ja grywam na katarynie.

— Ha, ha, ha.

— Nie widać tego po mnie?

— Już ja wim, czytałem afisz; o, jest tu u mnie. Sam pan dyrektor przyniósł.

— Co?

— Tak, wstąpił tu na przekąskę i dał mi.

Pan Józef i Wiecha zaczynają się sobie przypatrywać.

— Jak co będzie potrzeba...

— Dobrze, zadzwonimy obcasem o krzesło.

Gospodarz odchodzi.

— No, nie mówiłem ci? Z każdej sposobności skorzysta. A trzeba widzieć go przytem; tak sobie od niechcienia, po pańsku, ofiaruje afisz i to z miną, jakby łaskę robił. Bezczelna kanalia! Gdyby mógł, odprawiłby inspicjenta i samby kulisy ustawiał! Nie na darmo ma już takie nazwisko!

— Widziałem Kalibana.

— Pocciwy grat. Płacze się to między garderobą, zaciska zęby i pozwala sobą poszturkiwać. Czasem to mnie gdzie na uboczu czepi i pożali się. Ani śladu z jego dawnego humoru i sprytu! Robi co mu każą, ale też ani razu nie widziałem, żeby się do czegoś zapalił, sam co wymyślił, w mgnieniu oka z niczego urządził scenę, jak to dawniej bywało.

— Spostrzegłem i ja to.

— Ani śladu...

— To dlaczego pozwoli sobie?...

— Dobryś! Niechby się tylko raz postawił! Zaczna szcuć przeciwko niemu i wreszcie wyleją. A on to tak, widzisz, jak ja: bez teatru zdechłby, jak ryba bez wody! Muszę mieć ciągle kinkiety i kurtynę przed nosem, bobym oślepl, zidjociał! Niech tylko nie gram dwa, trzy dni, to zaraz łeb ciężki, jak cetnar, wszystko

boli, nerwy jak postronki przy żydowskim wózku. Trzydzieści lat przeszło człowiek zmienia się co wieczora, potrafi sobie wmówić na parę godzin najpoddlejszy charakter, największy ból, rozpacz, żyje tem, a niechno tak spróbuje zmienić tryb życia bodaj na chwilę — nie potrafi! Może dla tego, że zamało ma widzów, nikt go nie okłaskuje i że niema suflera, któryby mu sił dodawał. I to tak już weszło w żyły, w krew, w kości, że tfu, choroba!

Wiecha nagle urywa, bo spojrzawszy w twarz pana Józefa, widzi, jak się ten czegoś zmienił. Głowa mu opadła, usta się zwięzły, dość wyraźne podkowy pod oczami niżej jeszcze się opuściły.

— Poco ja o tem pytluję tobie, chyba to sam znasz najlepiej. Ot dwa stare mamuty teatralne z nas. Jeszcze rok, dwa, a potem? Nie żałby człowiekowi było starości, żeby się za swoją pracę przez całe życie, potem jaką taką bodaj pensję pobierało; a tak?... Chyba tak zrobię, jak ty.

— Nie przypominaj mi tego.

— Cóżeś miał?...

— Można jeszcze było parę dobrych lat pozostać. Nie jestem przecież znowu tak stary; jeszcze kilkanaście lat...

— Być może, pewnie, przyznam ci się, że ja nie byłbym wytrzymał; nie chciałem ci mówić, ale tak jest. Choć widzisz mój stary, z tobą to znowu co innego. Od czasu, jak ta chryпка chwyciła...

— Można wyleczyć.

— Pewnie, ale skoro się już zeszło z posturunku, to może i lepiej...

— Dziwię się, że to ty właśnie!

— E, ja się już sam sobie przestałem dawno dziwić, sambym pewnie tego nie zrobił, ale skoro się wytrzymało dwa lata, długie prowincjonalne dwa lata...

— Tak, to też nie wiesz com przeszedł!

I pan Józef, podniecony słowami Wiechy, zaczyna spowiadać mu się ze wszystkich przeżyć tego czasu.

Wiecha słucha, marszczy się, kręci papierosa, od czasu do czasu przystanie, ruszy się w stolku, zaklnie, naleje sobie z buteleczki, którą kazał podać, kieliszek wódki, wychyli szybko, wytrze usta i szepnie:

— Kołtuńskie nasienie! poznać to już po ich knajpach! Nic tak człowieka nie charakteryzuje, jak jego otoczenie. Dobrze im w tych norach. Widać co z tobą zrobili.

Zaczyna być rozmarzony, głos mu drży, jak zwykle po kilku kieliszkach;

— Podobno istnieje w przyrodzie prawo mimicry, podług którego wszystko upodabnia się do swego otoczenia; liszki naśladują kształt i barwę konarów, motyle i ćmy, pewne gatunki liści. Że tak jest, widać to i po tobie mój stary: chód, ruchy — nie gniewaj się — tutejszych dwunogów. Twarzy ci tylko

nie zmienili i tego kapitalnego przemykania oczu.

— A widzisz...

— To tak być musi, zresztą teraz masz już praktykę, możesz się przenieść do większego miasta. Choć znowu, do kroćset, nie mogę pojąć...

— Dlatego też ja mam dosyć! Żeby tam nie wiedzieć co, grać na nowo będę.

Wiecha już, już ma coś na ustach, twarz mu znowu czegoś smutnieje, odwraca oczy i zaczyna zapalką czyścić cygarnicę.

A pan Józef jakimś przyciszonym, tajemniczym głosem zwierza mu się z projektem: wstąpi na razie do Kulisy, zagra Hamleta, potem jakoś może los dopisze, no i w świat.

Wiecha wyczyścił cygarniczkę, przegląda ją jednem okiem, wydmuchuje, chowa, nalewa pół kieliszka, bierze wykluwaczką trochę pieprzu, wsypuje ostrożnie i miesza.

— Nie wiem, ale wątpię czy Kulisa... nie wiem, spróbuj.

Mówi to nie patrząc na Waracza, pół otwartymi ustami. Potem nagle, jakby chcąc zmienić temat rozmowy, zaczyna:

— Miałem już zamiar wystąpić i wyjechać do stolicy; jest tam tak zwana „scena ludowa“. Ale tam też nieszczególnie; zresztą nie wypada! Miasto się tem opiekuje, rajcowie rządzą jak w ratuszu. Jest to coś w rodzaju szkoły dramatycznej; same bębny i pod-

lotki! Choćby nawet i przyjęli, to wiesz, młodzi wszędzie mają pierwszeństwo. Dla nas weteranów, cośmy nie jedną farsę i komedję poza kulisami przeżyli, miejsca tam nie ma... Miał pan profesor Faust rację, że życie to walka. Tak jest! ohydna, podła, idiotyczna walka, w której, jeśli choć na chwilę osłabiesz, stratują cię przeciwnicy zabłoconemi kopytami.

Milczą znowu.

Wiecha kołysze się na krześle, bębniąc palcami po stole. Panu Józefowi oczy przyciemniały, usta raz po raz otwierają się, jakby chciał coś powiedzieć, niecierpliwie gładzi wygolone, sine miejsce pod nosem.

Wiecha poprawił się w krześle, wtulił się w siebie, jedną rękę wsadził za przód zapiętego surduta, drugą zaczyna coś kreślić po zapyłonym rogu stolika, z którego zsunęła się kraciasta serweta.

— Najpodlejsze to to, że z każdym dniem człowiek coraz więcej odczuwa swoje braki. Naturalnie, na takiej scenie małpy by nawet występować nie chciały! Nie było to jak jeszcze kilka lat temu stary, co?

Obaj zaczynają się ożywiać. Wizje dawnych lat wywołane wspomnieniem, tak im się wyraziście jawić zaczynają, że zapominają o wszystkim, opowiadaniem i przypominaniem najdrobniejszych szczegółów przerywając sobie gorączkową, podnieconą rozmowę. Od czasu do czasu Wiecha przypomni jakiś „kawał“, śmiech buchnie po pustym pokoiku, pocziwa, smutna twarz pana Józefa się rozjaśni, zacznie sam wycią-

gać wszystkie szczegóły ich życia wspólnego, ich występy, „sypanie się“ kolegów, skandalik koleżaneczki, kolację wydaną na ich cześć przez kasyno w jednym z miasteczek lub też niebywały sukces jakiejś marnej sztuki, z której potem drwili w niemiłosierny sposób za kulisami, nie szczędząc też rozentuzjasmowanej p. t. publiczności.

Oczy im się roześmiały, Wiecha wpadł znowu w pyszny humor:

— ...Więc, że życie nasze plunięcia nie warte.

— Hej Salomonie, daj dwa razy starkę!

Panu Józefowi afisz teatralny zaczyna przed oczami śmiesznie podrygiwać na ścianie. Miarkuje się jednak, przykrywa dłonią swój kieliszek:

— Już więcej ani kropli!

— Ha no, to ja w pojedynkę. Boli mię, ale cóż robić. Widzisz, ja to tak jak ten w „Weselu“:

— „Jak piję, to mnie kłuje,
wtedy w piersiach serce czuję“.

— Wtedy dopiero! inaczej ciągle mi się zdaje, że mam tam popękany garnek z żółcią.

— Pamiętasz Wiecha?...

I znowu zaczyna się potok urwanych, krótkich, serdecznych słów, szereg zdań, streszczających w sobie nieraz całe lata, wspomnienia, od których wystąpiły obydwu na wpadnięte policzki dawno chyba nie widziane rumieńce, jakby echo przygasłych chwil płomiennych, szalonych, jasnych i krótkich, jak błys-

kawica wiosenna. Obaj pochyłili się ku sobie i jakby na wyścigi wrywają sobie z ust zaczęte opowiadanie; pan Józef raz poraz coś nowego sobie przypomni, umyślnie, w celu tem obszerniejszego rozciągnięcia tematu, fakt jakiś przekręci, Wiecha prostuje, wyjaśnia, zaczynają się sprzeczać, przemawiać, docinać sobie.

Ktoby tak nagle teraz zajrzał do pokoiku „pod złotym jeleniem“, nie poznałby napewno zastępcy sekretarza pana notariusza, zarazem burmistrza i prezesa wszystkich tutejszych stowarzyszeń w jednej osobie. Wyprostował się, jakby urósł, twarz przybrała taki wyraz, że zdaje się być o jakie dziesięć lat młodszy.

Wiecha dyszy dowcipami.

W pokoiku tyle dymu, że w nikłym świetle drgającej świeczki, prawie ich nie widać.

Gwar przycicha, zaczynają spokojniej mówić o najnowszych sztukach i o grze do nich przystosowanej.

Pan Józef mimowoli wyciąga zegarek:

— Dla Boga! wpół do siódmej! Musisz już gonić!

Waracz w jednej chwili traci humor; nadrabia tylko jeszcze miną!

— Że też to akuratnie w najdonioślejszej chwili, kiedy już, już miałem zamiar postawić na twoją cześć latarkę, chciałem powiedzieć lampkę wina, przypominaś mi tę smorgońską budę.

— Lepiej, dziękuję ci i tak dzisiaj wypilem tyle jak nigdy może w życiu.

— Salomonie!

— Cztery korony, sześćdziesiąt pięć halerów.

— Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, że będziesz kasjerem u Belzebuba. Dajże spokój Waracz! jutro ty.

— Kłaniam się, moje uszanowanie.

— Pa, życzę ci snu o Nabuchodonozorze.

Na dworze Wiecha się prostuje, przeciąga się, poprawia kapelusz.

— Idziesz naturalnie ze mną?

— Idę.

— Poznasz cały ten szanowny ensemble. Jest tylko jeden, który coś zapowiada: Wilski, ex-kleryk, zakochany ciągle jak starożytny Asmodeusz i Zośka, której „dyrrrektorowa“ nie znosi, bo świeża jak wiosna. Nie dostaje biedaczka nigdy uczciwej roli; — reszta Sicz! Tam, kto nie chciał dostać się pod klucz, uciekał i zostawał kozakiem; u nas aktorem! Czcigodnym atamanem, w sam raz dla nich, pan dyrrrektor Kuliski! Mam wrażenie, że znowu się dziś z nim pokłócę, bo mnie coś przy wymawianiu tego nazwiska w dołku gniecie.

Dochodzą do kasyna. Przed ogródkiem pełno gawiedzi, wyrostków, dziewcząt; pisarze pokątni, jakiś młodziak od straży finansowej, zamasyście symbolizujący swój mundur trzaskaniem szabli, kilku studentów (jeszcze ferje wielkanocne), jakiś elegant, czytający

afisz, na którym kołysze się w lekkim wiosennym wicherze lampa; tej lampy strzeże policjant w „cywilnej” czapce, gdyż urzędową musiał oddać koledze, pełniącemu zaszczytny obowiązek stróża bezpieczeństwa przy ratuszu.

— Pomysłowa szelma ten Kuliski! Popatrz Waracz, przybił ci lampę na słupie, akuratnie jak u wejścia do panoramy! Ma to niby upiększyć, podnieść efekt, i ściągnąć jak najwięcej gości.

— Ciekawym bardzo... — szepce zamyślony, szybko drepcący pan Józef.

— Jesteśmy: tu! A teraz „Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate”.

I Wiecha otwiera jedne z bocznych drzwi garderoby.

Waracza uderzył silny zapach szminki, smalcu, inastyksu, pudru, palonego korka i djachilum.

W małej garderobie ścisk, hałas, bieganina.

Przed lustrami siedzą pół-ubrani aktorzy; jeden mierzy perukę, przypala żelazkiem, rozczesuje, drugi smarując się cielistą szminką, wykrzywia usta boleśnie, inny trzymając korek nad świecą marszczy twarz, celem naznaczenia sobie miejsc, gdzie mają przyjść czarne szramy, reszta już ucharakteryzowana bada swoje miny, w zaczepionych na wieszadłach lusterkach. Na pace pod oknem, jakiś młodzik siadłszy okrakiem, wyskubuje ze splecionego sznurka włosów, garstkę nitek na wąsy; jest tak tem zajęty, że nie widzi, jak ktoś

„świsnął“ mu część garderoby, przeznaczonej na wieczór i podsunął o wiele gorszą. W kącie, pod lampą, ktoś o łysej, strzępiastej peruce stoi i przepowiada swoją rolę, kołyszac się na boki, jak żyd przy modlitwie. Obok niego inny, z podwiązanymi chusteczką wąsami, wciąga staroświecki surdut, klnąc na czem świat stoi mastyks, który dziś czegoś nie chce „chwycić“.

Przy głównym stole, na środku izby, obok jakichś dwu starszych, siedzi Kuliski, kończąc właśnie charakteryzację; od czasu do czasu odchodzi od lustra, biegnie na scenę, daje dyspozycje, wraca, patrzy na zegarek, poprawia perukę, przyklepia nos, czerwieni go karminem, rozciera, przysypuje pudrem, wygładza, czerni otwory nosowe, wreszcie zaczyna się przebierać.

Gorąco nie do wytrzymania, swąd z lamp i świec, dym z papierosów.

Co chwilę ktoś pędzi z jednego kąta do drugiego z częścią garderoby, kilku ludzi dźwiga kanapkę i foteleki przez malutkie schodki, prowadzące na scenę, dywanik lub też kawałek papierowej ściany.

Na boku, z teką pod pachą, stoi wysoki, chudy jak smerek sufler, ćmiąc melancholijnie cygaro. Jemu wszystko obojętnie, zawsze ma czas.

Kilku ubranych już aktorów rozmawia o czemś w kącie, racząc się w kółko butelką piwa.

Przez uchylone drzwi zagląda od czasu do czasu ciekawie parę głów, spiesźnie cofając się, ilekroć tą stroną kto przechodzi.

W powietrzu, w takt przygłuszonych, fałszywych tonów miejscowej orkiestry, krzyżują się jak błyskawice docinki, żarty, przekleństwa.

— Stefan, chodźno! wybij mi dwa zęby.

„Wybijanie“ polega na tem, że Stefan smaruje koledze dwa przednie zęby mastyksem i nakłada na to czarną szminkę.

— W te portki to chyba cała familiaby wlaźła!

— Akuratnie dobrze, bo masz się podobno żenić.

— Dyrektorze, też to moja peruka!

— Dziś pan weźmie inną.

— Huu!

— Kaliban, sznyclu wołowy, gdzie okulary i parasol?

Pocciwy staruch drepce co prędzej w kąt i z zawiniątka wyciąga.

— Angleeez!!

— Nie ryczże tak, bo słyhać!

— Kto do djabła drzwi otworzył?!

— Ale ci muzyka! Na czem te szelmy tak trąbią?

— Mądryś! chciałbyś wszystko wiedzieć!

— Moje buty, moje świeżo podzielowane buty!

— Kaliban, rznij na scenę, do okna trzeba przybić firanę.

— Pii! ale się Duśka uczesała!

Na schodkach stoi wysoka, brzydka blondynka.

— Dalej nie wolno, bo oślepniesz od mojej białości, fiołku !

— Nie idę. Proszę dyrektora uważać z tem wyjściem. Powoli, bo za sceną masę desek; nie da się tak prędko przebiec.

— Dobrze serce. A zesyp mi się znowu przy końcu aktu, jak ostatni raz.

— Nie moja wina.

— Tylko czyja ?

Z miną obrażonej królowej na emeryturze, cofa się za drzwi.

W sieni gwar zbierających się gości.

— No, dziś porządna kolacja na pe !

— Nie wiesz to Gambrynusie, że dyrektor trzyma się zasady „Błogosławieni ubodzy“ i jak to tam dalej ta kolenda idzie.

— Goście się sypią, jak włosy z łysiny Wacka.

— Jak my się dzisiaj nie powściekamy od tej muzyki, tom gips.

— Stefan, a przyrzeczone kwiaty ?

Na schodkach znowu inna artystka; oczy podkrążone, usta wykarminowane, na policzkach purpurowe, cokolwiek za duże rumieńce.

— Tymczasem u ogrodnika jeszcze, nie rozwinięte, mogę się tylko pani zakląć na wszystko co mam, prócz mojej zarzutki, najświętszego, że Stefan chodził je oglądać.

— Brzydak !

— Jutro na pewno.

— A pojutrze, to już jak Boga kocha...

— Kaliban, zaświecić lampę z boku, bo tam tak ciemno, że można kark skrócić.

— Co ci w głębi wdzięcznego serca życzę, za to, żeś mi trzasnął tę lepszą krawatkę.

— Nie potrzeba ci, bo masz wysoką kamizelkę; zaraz po akcji oddam.

Pod oknami coraz większy gwar, drewniane schody u wejścia do kasyna, dudnią pod całą masą stąpających ludzi.

— Zaczkowski, a suflujcie na miłość Boga trochę wyraźniej: ostatni raz przez was byłbym się jak ciełę położył.

— A moja to wina, że panna Łońska spódnicą zgasiła mi lampę.

— Już to prawda, że ma ruchy wiatraka podczas burzy.

— Pilnuj ty lepiej Helki, żeby nie świstała przez zęby, jak przez puste orzechy.

— Tylko proszę cię...

— Zgoda dzieci, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda.

Muzyka zaczyna na nowo grać. Na sali stuk odsuwanych krzeseł, szorowanie nóg.

Pana Józefa zapoznaje Wiecha z kilku kolegami.

Kuliski wita go z przesadną grzecznością.

Waracz po kilku minutach czuje się, jak u siebie w domu. Rozmawia, pomaga się ubierać, wygląda

na ręce perukę dla Wiechy, który gorączkowo zabiera się do charakteryzacji, ogląda garderobę i części papierowych kulisów, opartych tu i ówdzie o ścianę; potem przechodzi na scenę.

Już wszystko przygotowane; Kaliban właśnie podkręca lampy, układa fałdy firanek. Na kanapce siedzi jakaś malutka szatynka, gryzie cukierki i nerwowo przerzuca kartki niewielkiego brulionu; kilka innych przy otworach w kurtynie patrzy, ile osób na sali; jakiś młodzieniec z przyprawioną bródką, w cienkich, popielatych spodenkach, wcisnął się w staroświecki fotel i ćmi zapamiętałe papierosa, inny chusteczką od nosa czyści końce butów; młoda, prawie dziecko jeszcze dziewczyna, wykręca się na drobniutkich, zgrabnych nóżkach, obutych w pantofelki, w tempie walcowem na środku sceny. Kaliban podszedł do kurtyny i majstruje coś przy linie, rozmawiając przyciszonego głosem z miejskim strażakiem.

Poza papierową ścianą szelest sukien.

Pan Józef rozgląda się na wszystkie strony, bada najdrobniejsze szczegóły urządzenia; pod surdudem, w takt muzyki, która właśnie fałszywym akordem przeszła w galopkę, zaczyna mu bić serce przyspieszonym tempem.

W budce suflera świeci ktoś małą lampkę, z kuchennym reflektorem.

Kuliski wpada na scenę:

— Zaczynamy!

Wszyscy porywają się z miejsca.

Muzyka właśnie grać przestała.

Kaliban okręcił sznurek około dłoni, wyprostował się, czeka.

Jeszcze kilka chwil — ktoś dzwoni przeraźliwie dwa razy.

Przy kulisach kilka osób, wszyscy się ustawiają, poprawiają garderobę i fryzury.

Dzwonek wrzeszczy po raz trzeci.

Na sali nagle cichnie, Kuliski klaska parę razy — kurtyna z piskiem idzie do góry.

Pan Józef stanął obok strażaka, oparł się o drewnianą ramę kulisy, oczy wlepił w scenę. Ani drgnie. Po kwadransie wysuwa się cicho, schodzi powoli do garderoby.

Wiecha właśnie skończył się ubierać, chodzi po pokoju.

— No i cóż? jakże?

— Pojęcia nie mają! Kuliski szarżuje, że patrzeć nie mogą! anim nawet nie myślał — szepce pan Józef ze smutkiem.

— Nie kryj się! mów głośno, ten dobrze o tem wie! Nie prawda Czarski!

— Szkoda mówić; błaznem jest w życiu, to i na scenie innym być nie może.

Ze sali nagle dochodzi silne klaskanie.

Panu Józefowi drgają policzki.

Wiecha przymknął powieki.

— Narodowy skandal! musiał znowu uciąć jaki głupi koncept. Bo trzeba ci wiedzieć, że komponuje na scenie, jak japońska małpa, chciałem powiedzieć aktor.

Oklaski się wzmagają, huragan śmiechu rozbrzmiewa.

— Odi profanum vulgus...

Czarski się odwrócił:

— Co mówicie Wiecha?

— Prawda, wyście łaciny nie wachali — kapitalne powiedzenie! Na polskie, to mniej więcej tyle co; gorącą wodą to stado, jak karakony!

— Idziesz?

— Wnet koniec aktu; trzeba będzie wypuść tych kilkanaście słów.

Obaj z Czarskim wychodzą.

Pan Józef zostaje sam. Stoi oparty o stół, zamyslił się nad czemś głęboko, bo czoło mu się w dwie brózdki sfałdowało; ręka niecierpliwie odpina i zapina guzik od surduta.

Na schodkach, przytulona do futryny, stoi młoda, piękna dziewczyna; przypatruje mu się pilnie, potem schodzi, przystępuje do niego.

— Pan pewno Waracz?

Pan Józef przytomnie, kłania się:

— Tak.

— Mówił mi Wiecha kilka tygodni temu...

— Tak?

- Tak; często pana wspomina.
- To pani pewno Zośka, przepraszam...
- Ależ tak, tak, Zośka! i pan wie o mnie?
- Dziś właśnie Wiecha opowiadał mi o pani?
- Tak? bardzo się wyśmiewał?
- E, pani sama wie o tem, jakiego ma w nim

przyjaciela.

- Zaczny kolega.

Na sali śmiech rośnie.

- Bawią się tam dobrze.

— Ot tak sobie; podobno inne były czasy jak pan dyrektor miał trupe?!

Ktoś przyciszonym głosem woła:

- Panno Zosiuuu!!

- Przepraszam, ogromnie się cieszę, żem pana...

Panu Józefowi jakby strumień wiosenny przebiegł po piersiach. Zaczyna chodzić po pokoju, uśmiecha się, usta mu się poruszają. Nagle przystaje, jakby mu jakaś myśl błysnęła, rozciera ręce, wygina w kabłąk plecy.

W tej chwili gwar na sali zmienia się w formalny wrzask, schodkami schodzą aktorzy.

Zaczyna się gorączkowe poprawianie charakteryzacji, zamieszanie, rwetes, bieganina, w powietrzu migają części ubrania.

I tak już do końca sztuki.

Pan Józef, mimo widoczne ożywienie w ruchach i na twarzy, chodzi dziwny i milczący. Trochę rozma-

wiał z Kuliskim, kilka słów ze Zośką, która go już całkiem oczarowała, czeka jeszcze tylko, kiedy Wiecha się ubierze.

Ten podchodzi do Kuliskiego:

— Dyrektorze prosiłbym à conto.

— I my także!

— Czekajcież, jeszcze nie wiem ile w kasie!

— Wystarczy na kielbaski z chrzanem.

— No — już, już!

Zaczyna się obliczanie, wypłata muzyki, strażaka i policjanta.

Dookoła pół-ubranego Kuliskiego ustawili się aktorzy, panie właśnie schodkami wchodzą już ubrane do garderoby.

Wiecha oblicza pieniądze.

— Jakto, tylko tyle?

— No?!

Nie odpowiedział nic, łypnął tylko oczami, okręcił się na pięcie, kiwnął na pana Józefa. Ten żegna się z Kuliskim i wychodzi.

Na dworze księżycowo - mglista noc wiosenna.

Dłuższy czas nie mówią do siebie. Wreszcie Wiecha krzaka:

— Chodź do mnie; kazałem w „hotelu“ przygotować coś do przygryzienia.

— Nie gniewaj się, pójde do domu.

— Masz dosyć? hm, rozumiem.

Pan Józef milczy.

— Zobaczymy się jutro ?

— Naturalnie.

Idą jeszcze parę kroków; Wiecha zadarł głowę do góry, zacisnął usta, obserwuje pilnie białe chmury, przesuające się koło księżyca.

— Tu skręcasz ?

— Tak.

— No to dobranoc.

— Dobranoc.

Pan Józef wlecze się tak powoli, jakby nagle osłabł.

Noc cicha, przymglona, zielonawym muślinem pootulała szary, zbity nieregularny rozlew domostw, w mlecznym, przesyconym poświata powietrzu dziwnie wyprostowanych i jakby odświeżonych, ostro odcinających się stertami szpiczastych, pofałdowanych dachów i różnokształtnych kominów, które na wierzchu przykucnęły i chwyciwszy się obu stron grzbietu gontowego, wypatrują księżyca, który raz po raz chowa im się poza zwałem bezszelestnie sunących chmur.

Na kilku latarniach, nie rozświeconych, jak na kasku stróżów nocnych, wyłyskuje się podłużna, spiczasta strzała księżycowego promienia. Po zaułkach i między ścianami przytulonych budowli zastygł mrok w długie, głębokie, nieruchome płachty, wystrzępione tylko gdzieniegdzie poblaskiem migotliwego światła. Na środku ulicy kałuże patrzą sennem okiem w niebo, mru-

gając w takt przeciągających górą wielkich kul obłocznych; kilka domów ziewa pół-otwartymi drzwiami.

Lekki, wiosenny wiatr co chwila gdzieś z kątów wypada; przeszeruje się między przeszłorocznymi, zeschłymi badyłami przyulicznych ogródków, powykręca blaszane chorągiewki na dachach, świeńie przeciągle na skręcie ulicy, potrząsie nastroszoną czupryną wierzb, poderwie się z ziemi i pędzi górą, za stadem szybko umykających chmur. Po drodze jeszcze zaczepi o płaszcz pana Józefa i muśnie go po twarzy wilgotnym oddechem. Ten zaś, jakby po nieproszonym pocałunku, wyciera dłonią usta, poprawia kapełusz i zaczyna szybciej iść; po kilku jednak już krokach, wlecze się znowu powoli, oczy wbija w ziemię i nie patrzy na nic tak dalece, że po raz pierwszy wchodzi w zupełnie inną ulicę: spostrzega się, wraca, przechodzi na drugą stronę, staje przed swoim ogródkiem, szuka klucza w kieszeni płaszcza. Jest. Dwa drewniane schodki, prowadzące do drzwi, zaczynają skrzypieć przeraźliwie pod jego nogami. Drzwi się zamknęły. Na ulicy cicho, jakaś tylko skrzywiona, mała lipa ze snu się przebudziła, potrząsnęła pięciastymi włosami i patrzy w okno pana Józefa. Często jej sen przerywa światło, które z tego okna dość późno w noc błyska.

Tym razem jednak jest ciemno: widać tylko przez chwilę na szybie niepewny cień przesuwającej się postaci wewnątrz pokoju.

III.

O pół do ósmej siedzi już pan Józef w kancelarji przy swoim stoliku.

Pan rejent nadzwyczajnie jest dziś dla niego grzeczny; rozmawiał z nim w swoim pokoju, dziękował kilkakrotnie za punktualność, rozprawiał o wczorajszem przedstawieniu i wypytywał się o kolegów i dyrektora.

— No, wcale tam jakoś, wcale. Tylko kostjумы mają nieszczęgólne; dobry był ten stary i ta w zielonej sukni. Zdaje mi się jednak tylko, że, te, za długo tu myślą siedzieć, trochę za długo.

— Do dziewiątego.

— Tak, ale na nasze stosunki to, te, za długo. Niech pan tylko pomyśli, że przecież codziennie nie będą mieli pełnej sali, a każdy dzień tu ich kosztuje tyle prawie, co we wielkiem mieście. Chyba zna pan tutejszą, te, drożyznę.

— Tak.

— Stanowczo za długo.

— I ja tak myślę.

— No widzi pan. Porozmawiamy jeszcze o tem. Już przepisane? Pięknie; niechże się teraz pan weźmie do tego zapisu.

Pan Józef tak szczerze bierze się do roboty, tak zawzięcie skrobie piórem, układa papiery, przepisuje, że robi wrażenie człowieka, który się chce pracą ogłuszyć.

Po dwunastej idzie na obiad, potem na chwilę do Wiechy, wieczorem, wprost z kancelarji, na przedstawienie. Tak się do tego w krótkim czasie przyzwyczaił, że nie może sobie wyobrazić, jakby mogło być inaczej.

Na drugi dzień to samo. Coraz jednak bardziej staje się milczącym, niecierpliwym i dziwnie podrażnionym. Wracając z przedstawienia, na którym były pustki, znowu zwierza się Wiesze z projektem udania się do Kulisy; i ten znowu wprost mu nie odpowiada, zaczyna mówić o czemś innem.

— Kazała ci się Zośka kłaniać.

— Pocziwa wiosenka!

— Może kiedyś się z niej wyrobić dobra aktorka. Choć nie można jeszcze niczego powiedzieć; pamiętasz Romską?

— Pamiętam, świetna siła; zbierała podobno laury w miejskim teatrze.

— Tak zbierała! zdawało się, że Bóg wie jak się sztuce przysłuży, tymczasem aniśmy się nie spostrzegli jak wyszła za mąż za jakiegoś bankiera, no i teraz sztuka jej pewnie nie w głowie.

— Tak ?

— A tak, swoją drogą, nie dziwię się; z kobietami to tak: podobno przecież i Aspazja po śmierci Periklesa wyszła za handlarza wołów.

Milczą; pan Józef po chwili na nowo zaczyna mówić o swoim zamiarze.

Wiecha zbywa go znowu krótkimi, pół-głosem wypowiedzianymi zdaniem:

— Nie wiem; spróbuj; idź; będziemy widzieli.

— A jak mi radzisz ?

Waracz nie może wydziwić się Wiesze, że, zawsze taki szczery i otwarty, teraz zamiast mu odpowiedzieć, miesza się, coś o głosie przebąkuje, o tem, że wyszło się już z wprawy, wreszcie milknie, odwraca głowę i pod nosem zaczyna klnąć świat i stan aktorski.

— To choroba, nieuleczalna choroba! Czuję i ja to po sobie! wszystkie swoje ideały pogubił człowiek gdzieś po prowincjonalnych dziurach; a rady na to nie ma, nie! Kto raz desek teatralnych się dotknął, już po nim. Jeśli mu los nie dopisze i nie wybije się, to tak na psy zejdzie jak my, właściwie jak ja. Kilka świetnych wieczorów, trochę oklasków, do których człowiek mimo, że tego stada ryczącego się nie cierpi, tęskni jak dziecko do czerwonego kapturka, a potem wieczna gorączka, jakieś pożądanie bezpłciowe, paskudne, mimowolna, niska zazdrość; lata pędzą, szmata się rozłożona z duszy robi, pełna tłumionych

w sobie ogni śmieszna, smutna karykatura człowieka nikomu nie przydatna, chyba jakiemuś humoryście do kawału. Kto wie jak się to skończy i kto nie ma siły, jak ty, dużo siły...

— Więc myślisz...

— Nic nie myślę, głupstwa plotę. Psia krew i tak źle i tak nie dobrze!

Wiecha zamachał rękami w powietrzu.

Pan Józef przystaje.

— Przecież mnie pamiętasz?

— Tak, tak; wieńce dostawałeś.

Pan Józef skwapliwie to podchwytuje:

— Kilka razy.

— Piętnaście lat temu.

-- No to i co z tego?

— Nic.

— Czemuż więc?...

— Tak sobie.

— Ej Wiecha!

— Cóż ty tak na mnie patrzysz? może powiesz, że ci zazdroścę? Niech mnie tak w tej chwili piorun trzaśnie w mój pusty czerep! Widać, żeś pozostał prawdziwym, pfuj, aktorem, bo nawet przyjacielowi nie dowierzasz; ale wiesz co z tobą się stało...

— E, boś mnie dawno nie widział.

— Pewnie.

— Więc?

— Nic.

Rozmowa nagle się urwała, rozchodzą się prawie bez słowa; Wiecha tylko silniej uściśnął mu rękę.

Pan Józef po drodze myśli:

— Ot zgorzkniał, zesceptyczał!... Ja chyba sam najlepiej czuję!

— Jutro już pójdę, na pewno; najwyższy czas...

Tego wieczoru lipa pod oknem pana Józefa kilkakrotnie się budziła, bo długo w nocy świeciło się w pokoju. Rękopis roli Hamleta dawno już tak gruntownie nie był przeglądnięty i dawno już tak pan Józef nie czuł się odmłodzonym i świeżym, jak rano po zwłczeniu się z łóżka.

Gdzieś jednak już przed dwunastą, w kancelarii, przekonuje się, że jakoś tak pewny siebie, jak rano jeszcze, nie pójdzie do Kulisy; coś go zaczyna draapać w gardle, gnieść w żołądku, zawadzać w łopatkach.

Skończył robotę, poskładał starannie papiery i parę minut wcześniej wychodzi.

Po drodze usiłuje się uspokoić, nadać ruchom pewność siebie, pewną lekkość i swobodę. Jakoś mu się to nie bardzo udaje, bo co chwilę, jakby dla uspokojenia się, przystaje, pokrząkuje, namyśla się.

Pod hotelem, gdzie trupa zajechała, prostuje się i szybko wchodzi do sieni.

— Pan dyrektor w domu?

Właściciel klania się:

— Tak jest, właśnie zjadł obiad.

— Którędy?

— Prosto, te trzecie drzwi. Tylko tam teraz jakaś panna poszła.

— Zaczekam.

— O, proszę.

Pan Józef spaceruje małym kurytarzykiem i ogląda porozwieszane na ścianie oleodruki.

Po kilku minutach drzwi się otwierają; poprawia krawatę — wchodzi.

— A, to ty? siadajże.

— Coś piszesz?

— E, nic; list piszę do magistratu w W. — najwyższy czas wynieść się już stąd. Dwa spektakle puste! Już wczoraj myślałem odwołać; jak jeszcze raz tak będzie, to chyba, do diabła, stąd nie wyjdziemy. A tu za każdą drobnostkę płacić i płacić na wszystkie strony. Urwanie łba, jak Boga kocham. A to wasze kasyno, wstyd, ani na jedno przedstawienie sali nie chce dać bez opłaty.

— Ha.

— Chciałem dać ostatnie przedstawienie na jakiś cel za to; ani słyszeć nie chcą!

— Jutro Hamlet?

— Tak, może przecież jakoś przyjdą.

— I ja tak myślę.

— Wywaliłem im afisze jak woły: to ostatni mój ratunek.

— Właśnie w tej kwestji przyszedłem do ciebie.

— Co, możebyś chciał nam pomóc w rozprzedaży biletów? masz znajomych tutaj...

— Nie, niewielu ich mam, przyszedłem tylko...

— Jeślibyś chciał, mój drogi, mógłbyś; zawsze tu dwa lata przecież siedzisz.

— Na nicby się to nie przydało. Sądzę jednak, że gdybym tak...

— Co?

— Gdybym tak, na przykład ja wystąpił w Hamlecie, to wszyscy tutejsi...

— Co?

— Gdybym ja zagrał Hamleta...

— Żartujesz stary!

— Nie.

— Żarty!

— Słuchaj Kulisa! Wiesz, że los tak chciał, iż musiałem na te dwa lata będę opuścić, ale nigdy nie myślałem...

Kuliski się prostuje:

— Dobrześ zrobił.

— Nie myślałem przecież wyrzec się sceny.

— Ależ miej rozum!

— Pamiętasz jak cię do trupy przyjąłem, jak się u mnie wyrobiłeś, jaki dla ciebie zawsze byłem, jak starałem się...

— Tak, tak, no i?

— Przychodzę dzisiaj do ciebie, jak do młodszego kolegi, przyjaciela. Słuchaj Kulisa, chcę tylko,

żebyś mi pozwolił wystąpić w roli Hamleta. Potem zobaczysz i sam mnie poprosisz, żebym u ciebie został. Opłace się: pozwól mi tylko...

— Nie bierz mnie na kawał; wiem przecież, że kpisz.

— Nie Kulisa! Znam cię, że u ciebie nie gra roli ani zazdrość ani... Zrozum mnie. Dwa lata tu wysiedziałem; teraz ty zjawiasz się jak zbawienie, żeby mnie stąd wyciągnąć. Podasz mi rękę, to znowu wybrnę. Niechbym tylko parę miesięcy był u ciebie, odetchnął, wszedł w tryb, niekoniecznie największe role...

— Ależ to niemożliwe; miejsca nie mam!

— Przy dobrej woli możeby się znalazło.

— Niemożliwe!

— No, to dobrze! O tem później! zgodź się tylko początkowo na mój występ — proszę cię.

— Absolutnie nie mogę; mam już role obsadzone.

— Przecież ty masz grać Hamleta, możesz mi więc odstąpić.

— Nie mogę! stanowczo nie! Cóż cię to napadło?

— Jeśli jesteś artystą, to chyba dobrze rozumiesz co. Przecież nie myślałem tu pleśnieć, dusić się i konać codziennie: czekałem tylko sposobności; marzyłem o tem codziennie jak dziecko, żyłem tem..

Kuliski wstał ze stołka, zapina surdut.

— Nie masz czasu? wiem ale posłuchaj mnie,

— Przykro mi bardzo, ale muszę ci powiedzieć, że nic z tego nie będzie. Dziwię się nawet tobie, jak możesz dziś jeszcze się porywać...

— Dziwisz się?

— Pewnie; zrozum, że...

— Nie, ty musisz ustąpić; to przecież jedyny mój ratunek.

— Masz stanowisko.

— Nie życzę ci, żebyś kiedy musiał tak, jak ja...

— Ojoj mój kochany! w dzisiejszych podłych czasach...

— Ale ja sam wolę, właśnie w tych dzisiejszych czasach, suchy chleb gryźć, jak tu dłużej siedzieć; nie chcę!

— Trudno!

— Jeśli tylko krztę masz życzliwości dla mnie i pamięci...

— Pewnie, że mam

— No to więc ja cię bardzo proszę! Nie wstyd to ci, że tak długo muszę prosić mojego byłego ucznia?

— Przykro mi, ale stanowczo muszę ci powiedzieć, że nie!

— Pozwól sobie...

— Nie, dajże spokój, bo to już naprawdę komiczne!

Panu Józefowi pot wystąpił na czoło, usta mu drgają.

— Słuchaj Kulisa — ja cię... błagam, ustąp!

— Ależ na miłość boską! zwarzowałeś na starość, czy co?

— Dobrze, obrażaj mnie, ale ustąp; widzisz, że cię proszę o to, jak o łaskę, — Kulisa!

— Nie róbże ze siebie clowna!

— Ładnie umiesz mnie uszanować i to właśnie w tej chwili.

— No, bo, jak Boga kocham, nie wiem już, jak ci to wybić z głowy!

— Nie wybijaj tylko ustąp. Wiem, że tak zrobisz!

— Nie, nie, nie!

Pan Józef podchodzi do niego, chce mu położyć rękę na ramieniu; ten cofa się. Pan Józef za nim.

— Słuchaj Kulisa, nie zmuszaj mnie do tego, żebym... żebym cię musiał na klęczkach prosić, bo absolutnie musisz mi przyrzec, że...

— No, coś podobnego?! Pod słowem honoru, że już ani słówka nie chcę o tem słyszeć! Ty Hamleta? — phii!!

— Co chcesz przez to...

— Hamleta! ha, ha, ha! Przypatrz się stary do lustra.

— Kuliski!

— Trzebaby chyba ze dwie fury szminki, albo lepiej odrazu nowy odlew twarzy! I ten głos; kpisz starszeczku, czy o drogę pytasz?

Pan Józef w jednej chwili się mieni. Cała duma, tłumiona tyle czasu, żal cały i obrażone wspomnienia dawnej swojej przeszłości, płomieniem na twarz mu biją. Przed sobą widzi tego Kuliskiego, który lat temu kilkanaście, prawie po rękach go całował, żeby tylko go przyjął; marny, skulony, nieśmiały, za każdym słowem się kłania, trąc poza sobą ręce.

— Zdaje się, że... że zapomniałeś, jak się mówi do tych, którym się wszystko zawdzięcza?!

Kuliskiego powiedzenie to zaczyna doprowadzać do irytacji!

— Taak? Proszę! Skądże to?

— Przypomnij sobie! tylko dobrze! Kogoś to prawie po rękach całował, żeby cię przyjął; komu się podlizywałeś, żeby tylko bodaj na trzy kartki dostać rolę; kto ci pokazywał prawie, jak po scenie się łązi? I dziś...

— Dziś widzę, że acan coś nie przy zdrowych zmysłach.

Pana Józefa, jakby prąd elektryczny przebiegł; pręży się, oczy mu się rozszerzyły:

— Milcz, chłystku!

— Co? Proszę w tej chwili...

— Zaraz tylko skończę! W przedpokojach wystaleś sobie koncesję, zebrałeś ludzi, żeby się z nimi jak z bydłem obchodzić, udajesz aktora, a... a błaznem jesteś. Milcz, teraz ja mówię! Nie masz pojęcia

co scena, co sztuka, żyjesz tem z czegoś mnie okradł, podpatrzył...

Kuliski udaje rozbawionego :

— Ha, ha, ha! pyszne! Ciebie podpatrzyłem, ha, ha, jak Boga kocham, bo mnie szlak trafi ; ciebie ?! Nie! daj Waracz spokój, bo umrę ; ha, ha, ciebie ! Przypatrz się sobie w lustrze, tylko dokładnie! tak od stóp do głowy. Hamlet !

— A ty co ? Ty bodaj wiesz, jakim ma być ten Hamlet ? Wystarczy ci twoja umiejętność, nabyta gdzieś w drugiej klasie ludowej, do ustalenia sobie zdania, kogo właściwie parodujesz ? Ty bez duszy, wyrafinowany, kupiecki meklerze, zrozumiesz tę przesubtelną...

— Ha, ha, ha! No, nawet nie wiedziałem, że się tak kiedy ubawię ! No i co dalej ?

— Jeszcze talerze wylizywał, kiedy ja z Hamletem cierpiałem...

— Rozczulające !

— Moja wina, zem cię wprowadził ; grzech przeciwko sztuce...

— Ach Boże !

— Więcej takich jak ty, a teatr w budowę jarmarczną się zmieni.

— Przyjmę cię wtedy na wywoływacza ; głosik akuratnie się nadaje.

— I ty śmiesz, ty...

— Eee, bo to już coś za długo trwa, nie mam czasu!

— Rozumiem, nie masz ani jednego argumentu, żeby się obronić, w duszy musisz mi rację przyznać...

— Za dwie minuty wychodzę! Skończ już, proszę cię. Popisałeś się przedemną, widziałem i żeby nie pewne defekty, przyjąłbym na statystę.

— Boisz się mnie przyjąć, boby wtedy dopiero cię ocenili!

— Koniec już, bo i tak mam śmiechem nadwyrężony żołądek.

— Nie chcesz bo... bo...

Coś się nagle z panem Józefem stało, bo urwał. zachłusnął się, w gardle mu coś zabulgotało.

I nagle po hotelowym pokoju buchnął coś, jak jęk zduszony, raz, drugi, trzeci, potem krótki, schryplę szloch.

Kuliski, zaskoczony tym nagłym wybuchem nie-mieje, wyciąga swą długą szyję, wlepia zdziwione oczy w Waracza. Przez chwilę, coś jak żal zamigotało mu pod powiekami; przypatruje się wysokiej, zbiedzonej postaci pana Józefa, wyszarzałemu płaszczowi, na którym znać ślady szczotki, świeżo odprasowanym spodniom staromodnym, grubym butom. Nie wie co teraz zrobić, kręci się na stołku.

W tej chwili na kurytarzu rozlega się pół-głosem nucona śpiewka i szelest sukni:

„Bo taki los już wypadł nam
Że dzisiaj tu, a jutro tam“.

Drzwi się uchylają:

— Dyrektorzuńciu!

— Za chwilę.

— Sam?

— Nie! Proszę za chwilę.

— Bien.

Pan Józef tymczasem uspokoił się, wziął kapelusz, zapiał jeden guzik od wystającego z pod płaszcza surduta, przeszedł z głową w bok pochyłoną obok stołka Kuliskiego.

Kuliski po zamknięciu drzwi siedzi nieruchomo, gryzie paznokcie, potem wstaje szybko z krzesła, otwiera drzwi, słyszy jeszcze kroki pana Józefa.

Chwilę czeka.

Brama hotelowa zamyka się z piskiem.

Na kurytarzu nie ma nikogo.

Kuliski wraca do swojego pokoju, chodzi od ściany do ściany, myśli coś, potem twarz mu się rozszerza, usta mu się wydeły:

— Aktor! Myślał, że mnie na udane łyzy weźmie. Ale dobrze to szelma zrobił, ani słowa! Hamlet, ha, ha!

Jakoś go to niebardzo uspokoiło, bo siada i myśli: Swoją drogą, że nie powinien go być tak obrażać, no, ale i jemu się dostało. Ale zawsze to jego pierwszy dyrektor, można było inaczej się urządzić. Gotów komu powiedzieć jeszcze, ten znowu roztrąbi to naokoło, a już i tak zaczynają mu się wszyscy coś za ostro stawiać. Naturalnie, musieli obaj z Wiechą dobrze go poza oczami odmalować. No i niechby

tak teraz... Nie, to niemożliwe, ale zawsze głupstwo się stało.

Podejrzliwa, zła, pragnąca zachować jak najlepsze pozory natura jego, zaczyna mu podsuwać najnieprawdopodobniejsze domysły: Gotowo się to odbić na jutrzejszem przedstawieniu, a tu nie ma za co wyjechać. Niech to lichu weźmie! trzeba się było pohamować; przecież jeszcze większe rzeczy nieraz słyszał, od Wiechy i innych. No, ale przecież nie mógł dopuścić, żeby on Hamleta... Tak dawno sam go nie grał... Zresztą, djabeł nie śpi, kto wie, mimo że ma ohydny głos... Jeszczeby gotowi z Wiechą..., może nie... ale przecież niktby inaczej na jego miejscu nie postąpił. Naturalnie! Swoją drogą trzeba to jakoś zatuszować.

Kuliski podchodzi do dzwonka, przyciska guzik. Wchodzi gospodarz.

— Nie wie pan, czy jest pan Wiechciński?

— Jest.

— Proszę go tu poprosić.

Po chwili w drzwiach ukazuje się Wiecha, zdziwiony nadspodziewanem zaproszeniem; zapina kamizelkę, gdyż wstał właśnie z kanapy.

— Panie Wiechciński, mam interes do pana.

— Hm?

— Był tu przed chwilą Waracz.

— Hm.

— Nie wiem skąd, ale ubzduralo mu się grać

Hamleta. Tłumaczyłem mu jak mogłem, przedkładałem; nie. Wreszcie od słowa do słowa, popsztukał się.

— Hm.

— Nagadał mi furę impertynencji, na jakie nawet nie wiedziałem, że go stać.

— Hm.

— Ja też nie zostałem mu dłużnym, no i tak ni stąd ni zowąd, stary się rozczulił jak dziecko, porwał za kapelusz i uciekł. Żal mi go, dlatego też chciałbym mu jakoś wytłumaczyć, że głupstwo się stało. Pan z nim bliżej żyje, niech pan będzie tak dobry i jakoś mu to wyjaśni. Może pan powiedzieć, że go przepraszam i, że nie ma sensu, abyśmy się tak mieli rozstać.

— Hm.

— No, co, dobrze?

— Zobaczą. Przy tej sposobności chciałbym dyrektora poprosić o monetę: jeszcze mi się z wczorajszego przedstawienia należy.

— Ach mój Boże, pan zawsze swoje! Ostatniego guldena, pod Bogiem, ostatniego daję.

— No, nie bardzo tam ostatniego: może jeszcze co...

— Nie, nie mogę; dziś wieczorem. A niechże pan nie zapomni!

— Aha.

— Trzeba mu to tak jakoś, po przyjacielsku; może dziś wieczór przyjdzie.

Tymczasem pan Józef na przedstawienie nie przyszedł. Nad wieczorem był u niego Wiecha i opowiedział swoją rozmowę z dyrektorem.

Wizyta ta, w wysokim stopniu zaintrygowała rejenta. Zaraz po wyjściu Wiechy, przywołał pod pretekstem jakiegoś kontraktu do siebie pana Józefa;

— Może pan to teraz napisze? Tak, te, cóżem to — no tak. Miał pan wizytę?

— Na chwilę był u mnie kolega.

— Tak, tak; po poradę?

— Nie.

Pan Józef po awanturze w hotelu jest blady, nie patrzy w oczy rejentowi, który dziwnie podejrzliwie mu się przypatruje.

— Chciałem się, te, pana o coś zapytać; nie wierzę w to jednak, te. Widzi pan, coś tu ludzie bają, że ma pan, tak, że ma pan wystąpić w tym Hamlecie?

Pan Józef drgnął. Widocznie ktoś umyślnie puścił taką wersję. Pewnie aptekarz.

— No? A ja przecież nie wierzę.

— Pewnie, ale nicby w tem złego...

— Naturalnie, ale ja panu tak serdecznie radzę — nie ma te, sensu. Widzi pan, ma pan tu już pozycję, te, tak pozycję, a taki występ, nie! zresztą oni tu niezbyt dobrą zrobili sobie reputację. Poza-
dłużali się, że nie wiem jak wyjadą, po nocach się włóczą, upili mi kiedyś stróża, a te artystki, bardzo przepraszam, tak się jakoś efronterycznie, te, naszym

paniom przypatrują na ulicy!

Pan Józef milczy; papiery, które w ręku trzyma, drżą lekko.

— Przysięgłbym, że ani się śni panu. Będzie pan dzisiaj na przedstawieniu.

— Prawdopodobnie nie.

— Racja, lepsze pan rzeczy widział; to pewnie jacyś te, niebardzo, niebardzo. Pójdzie się jutro, bo to rzecz klasyczna, ale także i dlatego, żeby mieli zaco wyjechać, gdyż potem jeszczeby tu gorzej u nas było. No tak, zaraz tym plotkom nie wierzyłem. Chyba pan nikomu nie mówił?

— Nie.

— Ot ktoś tak, na żart. Ale to się też rozniosło! już kilku mnie pytało. Dziękuję panu; a z tymi papierami, to znowu tak się nie pali — można jutro. Cóżem to chciał jeszcze? te, no tak, tak.

Pan Józef zasiada przy stoliku, skulił się, krzesło wsunął głęboko, porozkładał papiery, zamaczał pióro; zamiast jednak pisać, siedzi przez pół godziny prawie bez ruchu. Przez to południe jakby się postarzał, twarz mu się jeszcze więcej wydłużyła, oczy tylko nadmiernie wypukłe i w kątach, pod nieustannie drgającymi powiekami, cokolwiek zaczerwienione; usta tak się jakoś w głąb cofnęły, że ich prawie nie widać.

Z zamyślenia budzi go sekretarz. O coś go pyta. Pan Józef jakby dobrze nie słyszał, miesza się, nie wie co odpowiedzieć. Kilka osób wchodzi.

Tak ten kontrakt, liczba 17/148 f; nie, zapis, ten który wczoraj skończył... tak jest, tu; do pana sekretarza, właściwie nie, bo...

Pani, która go oto pyta, przypatruje mu się dziwnie, wreszcie wzrusza ramionami, odchodzi do sekretarza.

Coraz więcej osób przychodzi i jak na złość wszyscy do niego. Dobrze, że to już wnet koniec.

— Panie Waracz, proszę to przedziutko przepisać. Panie Waracz!!

— Przepraszam... aha, tak, przepisać.

Cóż to mu w rękę wlało? formalnie pisać nie może. A te litery! Jest krzywo swoją drogą, ale...

Zegar zaczyna bić.

— Chwała Bogu.

Pan Józef szybko się ubrał, wyszedł.

Dziś prawie, że biegnie do domu. Zaświeca lampę, wyjmuje ze stolika papier listowy. Chwilę się namyśla; ma zamiar iść na przedstawienie; nie, nie ma sensu, lepiej list. Choć swoją drogą ustnie...

Wiecha też ma dzisiaj większą rolę w „Popychadle”; ciekawe jak ją zagra ta... Kuliskiego. Dla Zośki jakby stworzona rola. Kwiatuszek! Wcale dobrze mogą zagrać; żadnych dekoracji, kostjumów, rzecz nawet dla nich przystępna...

Ręka mimowoli składa papier.

Wiecha ma dobrą twarz na tego starego; no i ten Wilski gra studenta... W sam raz, w sam raz

dla niego. Taka pocziwa, mieszczańska sztuka, z której wieleby się tutejsi mogli nauczyć. Ale ten autor, Szutkiewicz!... znało się go dobrze; w takiej był podłej nędzy; umarł prawie z głodu, no i teraz tantjemy nie potrzebują Kulisy płacić; wygodna rzecz!... No, jeśli się ma iść, to najwyższy już czas: ósma!

Palce bezwiednie zapinają płaszcz, z którego się jeszcze nie rozebrał. W chwili, kiedy ma wstać, coś jakby przemocą w krzesło go wciągnęło.

Nie ma sensu i koniec! Choć w gruncie rzeczy nicby nie szkodziło... Absolutnie nie, niepotrzebnie się tylko myśli.

— Nie!

Pan Józef, wstaje, rozbiera płaszcz, odpina mankiety, przywdziewa gorszy surdut, tamten chowa do szafy; potem wyciąga z małej komody herbatę, cukier, chleb, masło, ser i jak codziennie zaczyna przyrządzać kolację.

— Tak!

Nad malutką maszynką naftową znowu tak się zamyśla, że dopiero syk wybiegającego waru z pod pokrywy i skwirczenie zamkniętego knota go budzi. Zaczyna się poprawianie płomienia, wycieranie maszynki i dolewanie nafty.

Woda na nowo zaczyna się gotować; Pan Józef zdejmuje pokrywkę.

W tem — nie wierzy swoim uszom: ktoś jakby

pukał. Pierwszy raz coś podobnego tutaj mu się wydarza. Pewnie się przesłyszał; ktoś po tamtej stronie, do gospodarza. Naturalnie! jak długie dwa lata nikt, prócz psa właściciela tego domu, nie odwiedzał go; z nikim przecież nie żył. Wiecha w budzie — zresztą on tylko w knajpie odprawia wizyty.

Pukanie się powtarza.

Panu Józefowi o mało co, byłaby wypadła pokrywka z ręki.

Rzeczywiście ktoś puka. Zamiast jednak się ruszyć, stoi na jednym miejscu przygwożdżony; rozgląda się tylko po izbie, nie wiedząc gdzie to wszystko teraz sprzątnąć. A to umeblowanie! Żeby bodaj z tej kanapy nie wyłaziła tak bezczelnie sprężyna. Oczy zaczynają gorączkowo przebiegać po całym pokoju i jakby pierwszy raz spostrzega pan Józef takie nędzne urządzenie, że tembardziej nie wie, co teraz właściwie ma zrobić.

Tak jest zaambarasowany, że jeszcze nie odłożył pokrywki, która jakby mu się nagle do palców przylepiła; w blaszanem naczyniu bulgoce woda i na nowo zaczyna zalewać płomień.

Po raz trzeci ktoś puka.

— Zaraz!

Pan Józef biegnie do szafy, po drodze przewraca stół, przebiera surdut, stary wpycha w kąt za szafę, zapina kołnierz, wciąga mankiety, podchodzi do drzwi — otwiera.

— Prosz...

— Tu mieszka pan Waracz?

W drzwiach stoi mały, zamorusany chłopak.

— Tak.

Pan Józef myśli:

— Niechże cię, miałem się do kogo ubierać

Chłopak zaczyna za czemś gmerać po kieszeniach.

— Od kogo?

— Z tyjatrzu mnie jakisi pan przysłał.

— Z czem?

— Mam tu list; zaraz, o!

Pan Józef bierze kartkę zmiętego papieru, odstepuje na krok od progu, starając się sobą zasłonić wnętrze pokoju, rozwija.

Od Wiechy: „Mój stary! Widzę, że całą szopę z Kulisą wzięłeś na serjo i nie przyjdiesz! Niema sensu!! Dziś chętnie po przedstawieniu powłóczę się z tobą za miasto. Skapujże chłopie, że to głupstwo, gwizdnij na wszystko, Kulisa za głupi, żeby się na tem poznał — i przyciągnij się koniecznie do budy. Jutro i tak cały dzień próby z nieszczęśliwego Hamleta; niech więc dziś jeszcze z tobą swobodniej pogwarzę. Kto wie, kiedy się znowu spotkamy. Zapewniam cię najsolennie, że się pysznie ubawisz, bo mam wściekły humor, gdyż w teatrze szesnaście i pół osoby. Czekam! Gniotę ci żebra — Twój Wiecha“.

Pan Józef złożył papier, musnął się palcami

pod nosem, chwilę się zastanowił, potem postąpił do drzwi, wyciągnął z kieszeni parę miedziaków, kartkę od Wiechy schował, daje pieniądze chłopcu.

— Powiedz temu panu który list dał, że przyjść nie mogę, bo mam robotę, jeśli skończę, to może po przedstawieniu. Rozumiesz?

— Rozumiem, ale...

— Co?

— Ale, bo mi ten pan powiedział, że mam przyjść z panem, bo inaczej nos mi wyrwie i nie puści na galaryję.

Pan Józef uśmiecha się:

— Nie bój się, nosa ci nie wyrwie, a na „galaryję“ cię wpuści, bo powiesz, że ja go o to proszę. Zrozumiałeś?

— Tak.

— Bądź zdrow.

— Całuje rączki.

— Poczekajno! A czy był kto przy tem, jak ci ten pan kartkę dawał?

— W pokoju był jakiś dziad z brodą i kilka innych.

— No, ale czy kto słyszał?

Chłopak otwiera gębę, wywraca oczami.

— Dobrze zresztą; bądź zdrow.

Pan Józef zamyka drzwi. Zdejmuje surdut, wyciąga z za szafy starą bluzę, idzie do stolika, z maszynką, mruczy:

— Stanowczo lepiej, że nie pójde. Tak zrobię, jak myślałem. Tak! Widocznie jednak, że mu o to idzie.

Zaczyna szybciej krzątać się koło kolacji, je, potem zbiera ze stołu, chowa naczynie, wyciąga szufladę, wyjmuje papier listowy, siada i myśli.

Po krótkiej chwili, podarłszy kilkakrotnie źle zaczęty list, pisze. Zdania mu się jakoś nie układają — trzeba jednak koniecznie dziś skończyć, żeby jutro zaraz rano otrzymał... Cała awantura nie ma sensu, obaj byli podrażnieni. Ale tego się długo przecież nie pamięta... Nie ulega wątpliwości, że ustąpi i pozwoli mu zagrać. Ani chwili o tem nie wątpi... Zależy mu bardzo; choćby miał tu jeszcze jakiś czas zostać... Właśnie dlatego! Przecież on to zrozumie! Niech raz za ten cały czas odetchnie i pokaże im... Prócz tego sam się chce przekonać, właściwie utwierdzić... Ułoży sobie potem inaczej życie... Niechże mu więc po koleżeńsku pomoże! Zrozumie go, bo sam jest przecież artystą! Może jeszcze będzie mu się mógł zato wywdzięczyć... Sądzi, że mu to nawet przyjemność robi, jeśli swojemu dawnemu dyrektorowi może teraz pomóc... A należałoby mu się już przecie za te dwa lata... Niech tylko tak w myślach spróbuje chwilę postawić się w jego położeniu! A teraz najlepsza sposobność... On tylko może mu pomóc! Prosi go bardzo (podkreślone), nie przypuszcza ani na sekundę, żeby takiej drobnostki dla niego nie zro-

bił! Serdecznie go pozdrawia, jeszcze raz bardzo prosi i już naprzód (dwa razy podkreślone) dziękuje...

List nie taki, jak myślał, ale dziś nie może inaczej, nie ma czasu zresztą go przepisywać.

Pan Józef wdziewa płasz, skręca lampę, zamyka na klucz drzwi.

Droga na pocztę prowadzi obok kasyna. Szyby jasno gorzeją, drzwi od sieni szeroko otwarte, muzyka wrzaskliwie gra jakiegoś marsza; przy płocie, w blasku zawieszanej na słupie lampy, kilka osób się kręci. Widać jednak, że niewiele ludzi wewnątrz być musi.

Pan Józef, mimo, że go to teraz przecież nic nie powinno obchodzić, doznaje tego samego wrażenia, jak wtedy, kiedy gorączkowo biegał od garderoby do otworu kurtynowego, wypatrując, ile już osób na sali. Może jeszcze nadejdą. Tu w modzie spóźniać się o trzy kwadranse. Jakiś wózek... Przejechał! Nie mogli to tu wysiąść i iść do kasyna? Swoją drogą, dobrze Wiecha trzy dni temu radził, żeby przy końcu, przed Hamletem, jeśli będzie „bryndza“ dać „kawałek narodowy“, mianowicie: „Królowę przedmieścia“. Tyle razy to już swoją drogą i u niego kasę ratowało. Puszczą, przeraźliwa puszcza tam dziś być musi. Jutro zato przyjdą, wszyscy; wcale dobrze, że się domyślają! Przyjdą jutro... Jutro!

Pan Józef nie może jakoś spokojnie ustać na miejscu. Mruczy do siebie:

— Najlepiej jak najwcześniej położyć się i po-
bożnie to wszystko przespać. Nic się tu nie wystoi,
a jeszcze gotów kto zobaczyć.

Powraca chyłkiem, żeby go kto nie zobaczył,
przychodzi do domu, szybko się rozbiera, kładzie się
do łóżka.

Chwilę tylko przerzuci „rolę”...

Nad ranem budzi go jakiś nieznośny swąd:
Zasnął i nafta do ostatka się wypaliła.

Nie może już usnąć. Po kilku godzinach wstaje,
myje się staranniej niż zwykle, przebiera świeżą bie-
liznę, czyści ubranie, wkłada nową krawatę.

Do biura czas jeszcze. „Rola” do kieszeni —
i za miasto.

Przechadzka go cokolwiek orzeźwiła, w biurze
jest jednak tak roztargniony, że ani jednego aktu
nie potrafi przepisać. Za każdym razem tylko, ile
razy kto drzwi otworzy, podrywa się z krzesła. Siada,
ściska pióro, mechanicznie przewraca papiery i myśli:

— Nie do mnie. A na pewno list dostał... Już
przecie jedenasta; prosiłem go natychmiast o odpo-
wiedź. Do tego czasu mógł z pięć razy odpowiedzieć...
Może chłopaka do domu posłał...

Drzwi, które się ciągle dzisiaj otwierają, dopro-
wadzają go do takiego stopnia zdenerwowania i nie-
cierpliwości, że absolutnie pisać nie może.

Znowu ktoś idzie. Tym razem już jednak sta-
nowczo się nie odwróci; pewnie ktoś z interesentów.

Tymczasem, zaledwo ktoś dotknął się klamki, pan Józef wytrzymać nia może, odkłada pióro, zwraca się do drzwi. Naturalnie znowu nie listonosz! Zresztą o tym czasie nawet niemożliwe. Bardzo być może, że w domu jest co.

Podczas obiadu prawie niczego nie je, zbiera się, pędzi do domu.

Nie ma! Być może, że u gospodarza.

Okraża dom, wchodzi na podwórze. Właściciel domu właśnie coś naprawia koło rynny.

— Dzień dobry.

— Padam do nóg.

— Proszę pana, czy nie był tu kto do mnie z listem lub tak... w odwiedzinach?

— Nie, nie wiem. Zdaje mi się jednak, że nie.

— Nie widział pan?

— Nie.

— Może nie był pan w domu?

— Całe rano tu siedzę, to musiałbym chyba zobaczyć.

— Może z tamtej strony?

— Przecież zamknięte. Zresztą tędy wszyscy wchodzi.

— Dziękuję.

— Za mało!

Pan Józef się wraca:

— Jakby kto tu potem się pytał, to proszę mu powiedzieć, że jestem w pokoju u siebie.

- Do drugiej ?
- Nie, cały dzień.
- Cały...
- Tak.

Gospodarzowi ze zdziwienia mało co byłby młotek wypadł z ręki. Od dwu lat, jak u niego pan Józef mieszka, jeszcze nigdy w powszedni dzień nie zostawał w domu. Zabierając się na nowo do roboty, mówi do siebie :

— Pewnie chory. Taką punktualną fabrykę, a przecież chyliło.

Pan Józef wszedł do pokoju, zdjął płaszcz i siadł przy oknie. Nie na długo jednak, bo już po kwadransie wstaje i zaczyna jak zwykle pędzić po pokoju. Dla uspokojenia się składa papiery na stoliku, chowa brudny kołnierzyk, prostuje zmięty kapelusz, czyści go, potem znowu rozpoczyna się gonitwa. Zmęczony siada, muskuły twarzy rzucają mu się w skośnych linjach, gryzie paznokcie ; nogi z niecierpliwości, jakby mu ktoś co chwila podrywał.

Wpół do czwartej.

Ktoś puka.

— Wreszcie !

Jednym susem jest przy drzwiach.

Służący pana rejenta.

— Pan rejent się pyta, co się stało, że pan nie przyszedł ?

Pan Józef ledwie może powstrzymać tłukący się w gardle oddech.

— Proszę powiedzieć, że jestem słaby; dziś nie mogę przyjść.

Po odejściu służącego, zaczyna jeszcze więcej być rozdrażniony. Każdy najmniejszy szelest koło domu rzuca go do drzwi; nie wie co robi, otwiera je, przechodzi sień, wychyla się na ogród. Nie można dobrze słyszeć, bo ten tak tłucze się na dachu, że aż w głowie huczy. Najlepiej jak się na drzwiach przypije kartkę. Można się łatwo przesłyszeć.

Odrywa z listu ćwiartkę papieru, pisze na niej „Jestem w domu“, wywiesza na drzwiach.

Znowu kwadrans przy oknie siedzi, potem na nowo tak szybko biega po pokoju, że mu tchu brakuje. Szklanka z wodą, którą sobie z małego dzbanuszka nalał, dzwoni mu po zębach. Zaczyna być w pokoju tak gorąco, że musi się rozpiąć. Duszno! Trzeba obie połowy okna otworzyć; za mało u góry.

Wnet szósta.

Gospodarz przestał właśnie tłuc się na dachu; jest tak cicho, że pękanie podłogi wydaje się panu Józefowi jakimś trzaskiem przeraźliwym, który znie-nacka uderzu mu o czaszkę.

Ściemnia się.

Pokój przesycą podwieczorna wilgoć, kąty mrocz-nieją, z leciutką mgłą zdaje się wlewać jakaś ciężka, nieznośna duszność, która kroplami potu osiadła czoło i ręce pana Józefa. Palce poobgryzane prawie

do krwi, rozsuwają kołnierzyk wokół szyi, jakby mu kto ją za ciasną obręczą objął; policzki całe w drgawkach, oczy gorączką błyszczą. Jakby jakieś wewnętrzne pasowanie się znać na jego twarzy, usta lekko wykrzywił ledwo dostrzegalny rys bólu i niecierpliwości.

Jeszcze chwilę czeka, nadśluchoje, wreszcie szybko wkłada kapelusz, płaszcz, zamyka okno.

Na zegarze magistrackim bije pół do siódmej.

Pan Józef jak automat sunie do kasyna. Po drodze czyta jeszcze afisz od pierwszej do ostatniej litery, niewiele z niego rozumiejąc, dla zrównoważenia się kwadrans się przechodzi, ogląda dom kasynowy, wreszcie wchodzi.

W garderobie zaczynają się powoli zbierać.

Przy Kulisie, który stoi pod oknem, jakiś aktor energicznie wymachuje rękami:

— Jeśli dyrektor nie da guldena, to jak Boga kocham, króla nie robię — i śluz.

— Jakżeż panu...

— Tere fere! to już kawki po dachach powtarzają! Nie ma dyrektor monety?! Ano chciałbym tak mieć pulares pana.

— Proszę pana...

— Ha no, to słowo honoru, Klaudjusza nie robię! niech mnie tak szlak trafi!

— To jakoś wyrzucimy.

— „Bagatelka — rzekła Tosia“!

Kuliski spostrzega pana Józefa:

— Zresztą dobrze: ma pan, zostaję bez centa.

— Dziękuję.

Kuliski podchodzi do Waracza z udaną serdecznością:

— Jak się masz. Dobrze, że przyszedłeś; nie pisałem, bo nie miałem czasu, wiedziałem jednak, że przyjdiesz.

— O tej całej...

— Naturalnie, już ani słowa. Nie było sensu, choć ja chciałem cię zaraz przeprosić, wołałem za tobą.

— Nie słyszałam.

— Tak, tylko ty wyleciałeś... Poczekajno moment, przepraszam cię, widzę, że znowu ze sceną nie mogą dać sobie rady. Wszędzie sam muszę najdrobniejszego głupstwa dopilnować. Zaraz wracam.

W garderobie ruch się zaczyna. Co chwilę ktoś wchodzi, pojedynczo lub całymi grupami. Wiechy jeszcze nie ma. Gwar się wzmacnia, zaczyna się hałaśliwe wybieranie garderoby. Na stolikach i paczkach zaczynają błyskać świece.

— Kalibanie spuchło-nogi, szpady są?

— Są w kącie. Dwie dpożyczyłem od naczelnika stacji; w sam raz.

Kaliban z dumą wyciąga z kąta dwie stare szpady kolejowe.

— Ta akuratnie się mieści w tę naszą pochwę, ze zgubionej szabli hiszpańskiej.

— Bien.

— Żaboty w tej chwili chłopak przyniesie.

— Zacnie!

Na schodkach malutka szatynka:

— Kaliban, spódnica ze sklepu wypożyczona?

— Nie; powiedzieli mi, że aktorom nie pożyczają.

— Co?

Ktoś za wieszadłami huczy:

— Mają rację, słowo honoru! Zresztą żony, rower. pularesa i — spódnicy się nie wypożycza!

— Rany Boskie, no i co ja teraz zrobię?

— Grać bez spódnicy i kwita, ouwa!

— Nie dowcipkowalibyście! Niechże Kaliban weźmie guldena i da zadatek, prócz tego obiecać bilet gratis.

— Powiedz, że po przedstawieniu jeszcze bułka z szynką.

Kaliban wylatuje.

— Wam figle w głowie, a ja doprawdy nie wiem cobym zrobiła, gdyby mi tak nie pożyczyli!

— To może coś z naszej garderoby?

— Y!

— Cacy języczek!

Do garderoby zagląda nieuczesana główka:

— Nie ma tam moich bucików? postawiłam rano na koszu.

— „Panna pyta gdzie jest bucik,

Chłopak mówi bucik ucik“.

- No, joj bo nie mam czasu.
- Jest! coś na damską nóżkę za wielki...
- W każdym razie nos wasz by się nie zmieścił.
- Trza ci było Józek?
- Z ust tak różanych!...
- Gdzież się ten dyrektor skamforzył?
- Przebiera za kulisami pieniądze z pularesa do kieszeni, żeby w razie czegoś pokazać pustki.
- Aaa, pokłon ci biję bogini; tak późno?
- Dyrektor już jest?
- Odmawia różaniec na scenie!
- Przyniosłeś pomadki?
- „Kobieto, puchu marny, ty jesteś jak zdrowie, Masz tu pomadki, niech się Stach nie dowie!”
- Poeta?
- Tak; tylko jego pegaz ma długie uszy i ogon krowi.
- Nie! Takich łachów wdziewać nie myślę!
- „Płaszcz hiszpański“, psia krew! kołdra żydowska.
- Gdzież się znowu podział воск?
- Mastyyks!!
- Wiechy nie ma?
- Kończycie właśnie „raz na widelec“.
- Coraz większy gwar, śmiechy, żarty, szalona ochota, bo podobno w sklepie pół biletów już rozsprzedali.
- Chwała Bogu, że z tej przekłętej dziury już wyjeżdżamy.

— Czekaj, w gorszą jeszcze wpadniesz.

— Gdzie my to właściwie teraz pojedziemy?

Pan Józef stoi jak na rozpalonych węglach. Od czasu do czasu z kimś porozmawia, spaceruje i co chwilę zwraca się ku schodkom, które zniknął Kulisa. Wreszcie idzie na scenę.

Lampy jeszcze nie pozaświecane; pan Józef po chwili dopiero spostrzega Kulisę. Jest już pół ubrany, potajemnie w kącie to zrobił; właśnie miał iść się charakteryzować.

— Ach, ty tu?

— Tak.

— Z tą sceną rady sobie dać nie można, taka mała.

— Słuchaj Kulisa!

— Proszę?

— Czytałeś przecież mój list?

— Czytałem.

— No i?

— Wiesz, że nie mogę.

— Proszę cię, jeszcze możesz! Umieję całą rolę; bez suflera ją powiem; w domu próbowałem.

— Ależ mój drogi, niemożliwe!

— Jeśli tylko zechcesz...

— Nie mogę!

— Mógłbyś...

— Gdybym nawet chciał to już nie mogę.

— Gorąco cię proszę, zrób mi tę łaskę.

- Dajże spokój!
- Błagam cię!
- No i widzisz, znowu się zaczyna!
- Ustąp!
- Absolutnie nie.

Panu Józefowi głos drży:

- Ja ci... ja ci... potem wszystko zrobię. Ja...
- Stanowczo nie!

— Kulisa, patrz i ubranie akuratnie dla mnie, na ciebie nawet za wielkie.

- Nic nie szkodzi.
- No i dlaczego się tak uwziąłeś?
- Nie uwziąłem się, ale nie mogę.
- Możesz.
- Nie!
- Czemu?
- Bo nie!
- Kulisa!
- Nie proś, bo nie ustąpię.
- Wiem, że ustąpisz.
- Znowu się zaczyna.
- Nic się nie zaczyna, tylko...
- Dajże spokój! Ktoś tu idzie; narazisz się

tylko na śmieszność.

Ktoś prędko przebiegł przez scenę.

Kuliski chce wyjść; pan Józef zastępuje mu drogę:

- Kulisa!

- Proszę cię Waracz!
- Nie puszczę cię, aż się zgodzisz!
- Rany Boskie, dajże mi pokój!
- Nie pójdziesz, aż się rozbierzesz.
- Cóż to znowu?!
- Nic tylko musisz...
- Puść w tej chwili!
- Jeszcze raz cię proszę.
- Nie! nie róbże mi tu awantur.

Kuliski chce go obejść, ten zastąpił mu znowu drogę, chwytą go prawie w pół, popycha go na scenę:

- Jeszcze chwilę tylko się zatrzymaj!
- No?

Na sali orkiestra zaczyna stroić instrumenty.

— Słucham, tylko proszę cię prędko, bo już czasu niema.

- Szybko się ubiorę...
- Na miłość Boga, przyjdźże, do siebie, opamiętaj się.
- Zupełnie spokojnie ci mówię, rozbierz się.
- Czyś ty Waracz...
- Rozbierz się.
- Puść!
- Wyjdź i powiedz, że ja dziś gram Hamleta.
- W tej chwili puść!
- Ostatni raz cię proszę.
- Tysiąc razy nie!
- Musisz!

— Cóż to znowu, napaść czy co?

Pan Józef znowu zastąpił mu drogę. Kuliski widzi jak mu się oczy rozszerzyły. Zaczyna tak głośno mówić, żeby go w garderobie usłyszeli:

— W tej chwili proszę się usunąć, bo zawołam ludzi!

— Kul...

— W tej chwili!

— Taak?!

— Puścić! Szaleniec!

— A ty co?

— Natychmiast zejść ze sceny!

— Ty mnie wyrzucasz?

— Tak, ja!

— Ty, ty, ty...

W tej chwili wpada Wiecha, który właśnie przyszedł i po wrzasku ze sceny domyślił się wszystkiego. Za nim kilku pół-ubranych aktorów.

Na sali orkiestra hałaśliwie zaczyna marsz powitalny.

Wiecha staje między Kuliskim a Waraczem:

— Cóż to znowu?

— Ano znowu ten bzik z graniem! Hamlet... notarialny.

— No dyrektor nie masz znowu co...

— Tak, jak kto takie szkandaty...

Na scenie już pełno. Z damskiej garderoby powychodziły aktorki nieuczesane, przestraszone, po-

obwijane w białe chustki; zaglądają sobie przez ramiona.

— Dyrektor! wstyd wam tu wszystkim, że z takim parobkiem...

— Daj pokój Waracz!

— Jak pies się łaścił u nóg moich!

— Widzimy kto teraz, astmatyczny Hamlecie! Napad, formalny napad! i to kto, phi!...

— Padlec jesteście!

— Chodź Waracz.

Nieleddie przemocą wyprowadza go Wiecha; przy drzwiach pan Józef mu się wyrwał, przebiegł garderobę, wpadł do sieni.

W garderobie nastąpiła cisza; Wiecha nie wie, gdzie pociągnął się znowu na scenę. Po chwili dają się słyszeć dwa głosy kłócące się ze sobą.

Na sali muzyka gra jakąś wściekłą polkę.

Wszyscy kończą garderobę.

Ktoś dla rozpróśnienia wrażeń, woła z kąta piskliwym, „zwierzynieckim“ głosem:

— Antik, trzymaj pelerinę, bo dyrektora leją! Weselość powróciła.

— Ale ci astrachańska szopa, co?

— A widzieliście minę dyrektora?

— Patrzył tylko, żeby dać nura.

— Za siedm minut ósma! kiedy my dzisiaj zaczniemy?

— Słyszycie jak mu Wiecha godzinki wyśpiewuje?

— Podobno przyjaciel tego starego.

— O co to właściwie poszło?

— Chciał...

W tej chwili schodzi z impetem ze schodów Wiecha, za nim pół-ubrany Kuliski.

— Jeśli pan myśli, że się może z panem będę klócił...

— Chamstwo jest i koniec! Mówię to dyrektorowi przy wszystkich. Kiedyś zwyzywał go dyrektor, dziś znowu — cóż to on, psia krew, czyścibut, czy co?

— Koniec!! Jeśli się panu nie podoba, to...

— To co?

— To...

— Wiem, wynieść się?! Zaraz teraz, czy zaraz potem? He? To tak się obchodzi ze starymi aktorami, na których się majątek zrobiło? Naturalnie my tu wszyscy to bydło robocze! pracuj i pysk trzymaj, choćby ci w niego pluto! Trzeba było zostać dyrektorem karuzeli w Dobczycach! koniki byłyby się obracały i ani jeden nie wierzgnąłby ogonem!

Ktoś głośno parsknął śmiechem.

Kuliski znając ostry język Wiechy zamilkł, błąd siadł przy stoliku i zaczyna gorączkowo rozcierać szminke.

Wiecha zerwał ze siebie surdut, porwał stół, przysunął do okna, na którym postawił kawałek rozbitego lustro i zaczyna wtłaczać na głowę perukę.

W przeciągu dziesięciu minut się ubrał; Kuliski również już gotowy, daje znak Kalibanowi, który od kilku chwil stoi z dzwonkiem w ręce, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

Rozlega się przeciągłe, hałaśliwe „pierwsze dzwonicie“.

Pan Józef po wyjściu z garderoby, sam nie wie, jak się nagle znalazł na końcu miasta, na drodze między dwoma polami zieleniejącej runi. Ostry zapach świeżo nawiezionej roli i wilgoci, stojącej w brunatnych bruzdach, prócz tego chłodny wiatr zachodni, orzeźwił go; stanął, zdjął kapelusz, przetarł czoło, poprawił kołnierzyk, dźwignął głowę, strzepnął rękami jakiś niewidzialny ciężar, rozchylił zaciśnięte usta, czoło zbiegło mu się w szereg głębokich, fałdzistych pręg. Potem znowu raptem się skulił, plecy w kabłąk mu się wydeły, zmalął; rzuciło nim coś parę kroków naprzód. Tak kilka razy. Uszedł znowu kawalek, aż wreszcie gałąź, osiadłych dwoma rzędami wierzb, musnęła go po twarzy. Rozglądnął się naokoło. Daleko, równo, jednostajnie, rozciągały się pola, aż pod sam las, przed którym wielkiem, srebrnem okiem połyskiwało trzęsawisko, obrośnięte z jednej strony zeszłorocznem, zeschłem sitowiem, przetykanem tu i ówdzie niskimi krzakami. Z boku, poza wstęgami zagonów, spały przyziemne, oniemiałe chaty, rozrzucone na przestrzeni kilkuset metrów.

Tak cicho, że słyhać najlżejszy odgłos dolatujący tu na wietrze z miasteczka, które pół już ośleple, otuliło się mgielnym welonem i zbiwszy się ciałem swych bezkształtnych domów, zabiera się do spania.

Z wieży dolatuje po rosie dźwięczne, płynne jak to srebro nocne, uderzenie zegara. Dwa razy.

Za każdym dźwiękiem pan Józef drga, wyciąga w tył łopatki, w połowie kroku zatrzymuje się, potem, jakby się czegoś przeraził, w jednej chwili się odwraca i zaczyna tak szybko pędzić w stronę miasta, że w przeciągu kwadransa staje znowu przed budynkiem kasynowym.

Obchodzi go z drugiej strony, dopada schodków prowadzących na galerję.

Trzy kwadranse na dziewiątą.

Przy drzwiach stoi jakiś chłopak, poznaje go, gdyż przedtem widział razem z nim Kuliskiego, właściwie bierze go za aktora i bez wahania wpuszcza.

Pan Józef przepycha się między gawiedzią, idzie na drugi koniec, wtlacza się w kąt, gdzie jest wolniejsze miejsce.

Rozpoczęto właśnie akt drugi.

Cała sala napchana.

Oczy pana Józefa, przesiąknięte jeszcze nocną wilgocią, nie mogą się oswoić ze światłem. Powoli rozpoznaje szereg krzesel, zarysy ścian, kiwające się na wszystkie strony kapelusze i pióra, wypomadowane głowy i lśniące łysiny, muzykę opartą o instrumenty

i wpatrzoną w scenę — budę suflera i „pokój w domu Poloniusza“, udekorowany meblami rejenta. Tę samą kanapę widział przez drzwi w ich salonie! Wypożyzył!

Panu Józefowi tłucze się serce. Przypomina sobie każdy najdrobniejszy szczegół z ostatniego przedstawienia, kiedy to Kaliban u niego wysztyftował taką scenę, że nie ustępowała wielkiemu teatrowi.

Jak to tu wszystko wygląda! Te stołki! No i portjera u wejścia! A ten słup, z którego papier się odlepia!... Jest Wiecha. Gra Poloniusza. Ale ma kostjum! A, tam Zośka! naturalnie, robi orszak królowej — Pindulińskiej!

Panu Józefowi zaczyna być za gorąco; rozpina płaszcz, ręce niecierpliwie czepiają się poręczy.

Na scenie chwila czytania listu Hamleta do Ofelji.

Wiecha ma lekką chrypkę.

Pan Józef w myślach każde słowo za nim powtarza; w chwilach kiedy Wiecha chrząka, ręce silniej czepiają się poręczy. Nie tak było u niego! Ta królowa! ruch cyrkówki, a ten gardłowy głos: „Czy to Hamlet do niej pisał?“... Kto jest ten bałwan Rozenkranc, który tak się kręci na wszystkie strony?! Wstyd, orszak złożony z jakichś chłopaków, w kitlach jak kościelni! Jak to idzie! — rany Boskie, jak to idzie!... Żadnej akcji, życia! A ten idjota drze się z budy!... Dobrze, z za kulisów wygląda

strażak! Lepiejby było, żeby szelma wyszedł na scenę i przyłączył się do „orszaku“... Tak, teraz ktoś poza sceną goni, że aż się wszystko trzęsie. Pięknie! tylko tak dalej!... Ale te kołki gawronią się, jak na cud jaki. Świństwo, świństwo!

Jeszcze tylko może sam Hamlet uratować! Dobrze to Wiecha zrobił. Król również jeszcze ujdzie. Tylko ta korona! gotowa mu jeszcze ze łba zlecieć. No właśnie... dobrze, że sobie ją poprawił. Co ta Pindulińska ma w gardle, że jej tak chlupie?! zupełnie sens przekreśliła. Nic nie szkodzi! aby tylko handel szedł i aby zarobiła na jedwabne pończochy! Wiecha znowu dobrze... „Prowadzę tutaj moją córkę“. Ruch znakomity! w tej chwili wejdzie Hamlet!

Pan Józef czuje, że mu coś ciśnie krtani, zatyka oddech, oczy mu się z wyęczenia łzawią.

Wiecha kończy... „Zostanę prostym chłopem, albo klechą“.

Powinien już wejść! Przecież absolutnie po „albo klechą“. Naturalnie. Co? najpierw Pindulińska. „Patrzcie jak smutno biedny chłopiec z książką zbliża się tutaj“. Fatalnie! Szmer jakiś... Poco oni się rozstępują?... Jest!...

Wchodzi Kuliski z książką w ręce.

Sala jakimś czerwonym kołem zatańczyła pod powiekami pana Józefa; ręce jeszcze silnie wpiły się w poręcz, usta się rozsunęły, oddech na chwilę

zapał się gdzieś przy samej nasadzie szyi. Nic nie widzi, w gardle go piecze, słyszy tylko głos Wiechy:

„Jak się miewa mój łaskawy książę?”

Potem ktoś odpowiedział; Wiecha znowu mówi.

Po paru sekundach czerwone koło przestaje się kręcić, jasność ustępuje i pan Józef widzi Kuliskiego w dość dobrym kostjumie, opuszczającego książkę.

I w jednej chwili wzbiera mu się coś w piersiach, coraz gwałtowniej, zalewa gorącym potem czoło, ręce i kończyny nóg, coś zaczyna sobie przypominać, czego myślał uchwycić nie może. wszczyna się zamęt w głowie, jakaś gonitwa oderwanych strzępków myśli. — Kieruje w bok głowę, jak tamten na scenie, usta przemykają się, zwężają, składają jakieś słowa, które zaraz ma wyrzucić, musi: zapomina gdzie jest, skupia się, czeka tylko na koniec przemowy Poloniusza:

...„Cóż to czytasz Mości Książę“...

Usta się otwały, szept z nich wybiegł w takt słów Hamleta na scenie; i ten ruch zniechęcenia:

„Słowa, słowa, słowa“..

W tej jednak chwili jakby go coś ukuło; przyciska się do barjery, twarz mu się skrzywiła, szept urwany zaszeleścił:

— Pojęcia nie ma.

Zaczyna się dziwna komedja: Pan Józef w myślach odpowiada Poloniuszowi, pomaga sobie ruchami,

potem podrywa się, kurczy ile razy Kuliski skończy mówić i miele w ustach :

— To ma być Hamlet?! To ma być Hamlet !

Szcześnie, że blisko niego nikogo nie ma i wszyscy w scenę wpatrzeni, bo pan Józef prawie už półgłosem gra.

Scena między Rozenkranzem, Gildensternem i Hamletem.

Panu Józefowi twarz się tak wykrzywiła, żeby go nikt nie poznał. Za każdym razem skoro tylko Kuliski skończy mówić, odrzuca się w tył, twarz mu sinieje, zęby się zaciskają :

— I on mnie !... Tu to mnie podpatrzył, okradł — tylko jak ? Kraść nawet nie umie... Pojęcia nie ma. On i rozumieć Hamleta ! Ach ta scena z aktorami !... Błazen !

Całą siłą powściąga się, tak silnie przyciska się do barjery, że aż piersi go bołą, usta tak ściska, że w skroniach mu się głębokie doły robią. Potem powieki mu drgają, szyderczy, pogardliwy uśmiech wydał mu wargi, wychylił się, wbił oczy w scenę, jakby niemi chciał Kuliskiego prześwidrować. Nie, nie wytrzyma ! Nie może ! Tak łajdacko parodjować, tak łajdacko ! Tak brutalnie to wykszusić ; „Do paralusza !“... Kpiny ! ten kaprałski ruch : „Odprowadź ich !“ To Hamlet, to Hamlet ?!

Panu Józefowi zaczyna coś jęczeć w piersiach :

— Nie chciał !... naturalnie ! I taki gra Hamleta,

taki... a ja! Jak on się to wystawia! Takich powinni do kryminału!...

Kuliski zaczyna końcowy monolog.

Pan Józef tak się skulił, że ledwie jeszcze głowa wystaje mu nad barjerę; położył ją prawie na oparciu, przycisnął brodę, jedną ręką się puścił, nogi popodwinął, jakby go nagle kurcze chwyciły, zębami gryzie trzęsące się wargi, oczy wyszły mu szaremi białkami z poza zaczerwienionych powiek, kolana wparł z taką siłą w zagłębienie galerji, że zdaje się niemi wysadzić drewniane, nadpsute oparcie.

...Cóż z nim Hekuba, on z nią ma wspólnego.

Żeby aż płakał nad Iosem?

Deski pod parciem kolan pana Józefa zaczynają trzeszczeć, nogi się pod nim uginają.

...„Jestżem tchórzem?

Któż mi zarzuci podłość“.

Panu Józefowi zdaje się przez chwilę, że Kulis go zobaczył i wyzywająco patrzy na niego.

...któż mnie może

Wziąć za kark, za nos powiesić, w twarz mi plunąć“.

Pan Józef szepce do siebie:

— Każdy, każdy za takie granie!... Nie chciał! Dziś jeszcze po dwu latach przerwy, bez próby, nie tak, jak on... Cyrkowa parodja! Pfuj! te małpie wykręcania się! i te bezmyślne wylupiaсте ślepia!... Nie mogę, nie mogę!

Kuliski cofa się parę kroków w tył:

„Ten duch, com go widział,
Mógł być szatanem, bo szatan przybiera
Jaką chce postać i nadużywać
Mojej słabości...”

Panu Józefowi zaczynają znowu wirować przed oczyma czerwone koła.

Kuliski wykręcił się śmiesznie, zrobił komiczny ruch, kończy :

„Zamierzona sztuka
Będzie probierzem, którym jak na wędę
Sumienie króla na wierzch wydobędę...”

Pociemniało w oczach panu Józefowi ; ktoś lunął w nie całą garścią szpilek.

Cicho. Aż nagle zrywa się huragan oklasków, tupanie, okrzyki.

Pan Józef odczepił się barjery, zatoczył się jakby go konwulsje opadły, znowu chwycił się poręczy, usta łapią powietrze.

Kurtyna powoli się podnosi ; wychodzi Kuliski. Ukłon. Głowę pochyla, ręce kładzie na piersi.

Nowa burza oklasków.

Szarpnęło się coś w piersiach pana Józefa, wstrząsnęło nim. Koło czerwone zaczyna się wściekle obracać. Wychylił się poza poręcz, potem jakby przysiadł, usta mu się skrzywiły, sine plamy wystąpiły na twarz. Coś się w nim łamie, dźwiga, wreszcie wargi mu rozchyła :

— Tfuj ! precz z nim, precz ! Tfuj !

Przyparty w kącie, półoblakany drze się głosem.

Na sali zamieszanie ; kilka osób wstało z krzeseł, wszyscy się oglądają, idą za głosem. Poznali go.

W tej jednak chwili, gawiedź zebrana na galerji, zaczyna z uciechy przeraźliwie wrzeszczeć.

Kuliski wycofuje się.

Pan Józef jakby odchodził od zmysłów. Przypadł do chłopaków, wyciągnął stary pulares :

— Dalej chłopcy, gwizdnąć ! Tak fi-u-it, głośniej ! razem ! Kto głośniej gwizdnie, dostanie nagrodę ! A wy krzyczcie : precz ! Jeszcze, jeszcze głośniej ! Tak, ha, ha, ha !

Rzucił parę sztuk monety na ziemię, zaśmiał się, zachłysnął, odwrócił się tak nagle, że byłby upadł, odbił się od ściany, doszedł do drzwi — stoczył się prawie po schodach.

Świst, wołanie i piekielny wrzask, gonił go jeszcze na ulicy, wświdrowywał się w uszy, nos, usta, dał piersi, w których mu jęczał śmiech jakiś do szlochania podobny, smagał jak żelaznym, rozpалonym prętem po obnażonem, krwawiącym ciele. Zatykał uszy, kapelusz zaciskał na czoło, rękami jakby zasłaniał głowę przed uderzeniami.

Ochłonął przed jasno oświetlonymi drzwiami jakiegoś sklepu. W gardle mu zaschło, na nogach

utrzymać się nie mógł, musiał gdzieś usiąść, spocząć, bo czuł, że runie na ziemię.

— — — — —
— — — — —

W szeregu księżycowych nocy, jakie od tygodnia już trwają, dzisiejsza jest najpiękniejsza.

Całe miasteczko tonie w powodzi jasnych strug mlecznego światła; chłodno jest, ale w powietrzu ani jednego strzępka mgły; jak w pogodny dzień słoneczny można dojrzeć najdalsze perspektywy uliczek, aż tam, gdzie przy raptownym skręcie, przyciemniają widok długie, gęste płachty cieniów, obrzeżonych u kończyn srebrną taśmą. Gdzieś w szerszym wylocie skrzywionej ulicy, na ciemno-granatowym tle nieba, czarną sylwetką znaczy się las zamiejski, który pod wpływem oświetlenia jakby się przybliżył; z ciemnej, nieruchomej masy wyrrywają się tylko tu i ówdzie wierzchołki wyżej wystrzelonych sosen, jak szereg cieniutkich, szpiczastych wieżyczek gotyckich. Błoto na ulicy przyschło w głębokie fałdźiste brózdy, po których prześlizgują się nici księżycowe, jak po falach lekko wzburzonego stawu. Półpołamane parkany fantastycznie się nastroszyły, całe srebrne, pochylone nad rowami, w których lśni się jeszcze nieruchoma woda, podobna do rozlanej rtęci. Na małych szybkach okien migotliwe ogniki, między konarami drzew muślin brylantowy...

Nawet najłżejszy szmer wiatru nie przerywa dzwoniącej srebrem ciszy...

Nagle od strony kasyna daje się słyszeć gwar, stąpanie kilku osób.

Wychodzą z przedstawienia.

Większa część idzie na prawo ku rynkowi, mniejsza wprost, tak zwaną ulicą ogrodową. Przerzedza się; na końcu, w towarzystwie żony i kilku znajomych pan rejent, głośny już na kilkadziesiąt kroków.

— No wiecie państwo, te, jak honor szanuję tak się tego po moim Waraczu nie spodziewałem; taki skandal, taki skandal!

— Czy tylko rejent jest pewny, że to on?

— Ta jakżeż, wszyscy widzieli.

— Nie byłem wtedy na sali.

— Zresztą głos jego. Pani doktorowa sama...

— Tak jest, widziałam go; machał rękami i tak wrzeszczał, że ażem się zlekła. W pierwszej chwili myślałam, że pożar — broń Boże — albo też jaka bitka, a strasznie tego je le crains.

— Żona jeszcze teraz uspokoić się nie może.

— Damy proszki na serce, poczekacie państwo tylko chwileczkę.

— Serdecznie dziękuję.

— Nie fatygujcie się, jakoś tam może przyjdzie w domu do siebie! nie jadła jeszcze, te, kolacji. Ale pani doktorowa zbladła.

— Nic już, wszystko byłoby dobrze, grali nie-
 źle, tylko już po tej awanturze...

Doktor przyciska łokieć swojej żony i szeptem:

— Znowu przekręcasz?

Pani doktorowa silniej jeszcze akcentuje:
 (widziała jak mąż w bufecie „figlował“ z córką re-
 stauratora).

— Po tej awanturze nie mogłam skupić myśli.
 Swoją drogą ten Waracz! je crois que non zrobił to
 w trzeźwym stanie.

Rejentowa, ile razy żona doktora zaczyna mó-
 wić po francusku, wpada w pasję. Gęś głupia, na-
 uczyło się to źle paplać i myśli, że tem może zaimpono-
 wać; córka kancelisty!

— A ja właśnie sędzę, że tak; słyszeliśmy, że
 chciał sam grać, no i pewnie wskutek tego...

— Tak? Qui l'aurait cru! Taki zawsze cichy!

— Nie zna się pani doktorowa dobrodziejka na
 ludziach, nie!

Pani rejentowa szeptem mężowi:

— Mówiłam ci, żebyś jej tak nie tytułował.

— No i co teraz pan rejent?

— Ha, przecież go nie wyrzucę: zapowiem mu
 tylko stanowczo...

— Ślicznie! Cela s'appelle złote serce.

Rejent udaje, że zrozumiał:

— Cóż robić? wiem, że pozostałby bez chleba.

— Ale wie rejent, żem się nie spodziewał takiej
 gry; jak z nut im szło.

- Tak, te, wcale, wcale.
- Szkoda, że Waracz...
- Trzeba to jakoś zatuszować, żalby mi go było, te, wyrzucać.
- Zwłaszcza, że dobry pracownik.
- Te, nie to...
- Pewnie, je le crois, że to się mu już nigdy nie przytrafi.
- Rejentowa nie może wytrzymać:
 - Państwo z pewnością tedy pójda?
 - Tak.
 - No, to my dzisiaj wybieramy dłuższą drogę; śliczna noc. Dobranoc.
 - Całuję rączki.
 - Rączki całuję.
 - Rejentowie zostali z aptekarzem.
 - Nie znoszę — mówi pani rejentowa — jak ona zaczyna paplać po francusku. Lepiejby przyłożyła się do polskiego języka, bo pisze! Mam jej bilet.
 - Dajże pokój żonusi!
 - Ma pani rejentowa rację; nawet nie umię dobrze.
 - A jak się to wyczapirzyła! jak na bal.
 - Swoją drogą.
 - To dekolte!
 - Hi, hi!
 - Ale ten Waracz! a ja, te, przeczuwałem. Nie był dziś w biurze.
 - Widzisz, ja zaraz mówiłam.

— Chwała Bogu, że się już stąd wynoszą! Nie prędko tu ich pewno ujrzymy.

— Mała szkoda, krótki żal.

— Pewnie, ot chodziło się, żeby, te, dać im coś zarobić, bo to gorsze, jak dziady. Aptekarz tedy?

— Odprowadzę państwa.

— Z wielką przyjemnością.

Skręcają w bok.

Nagle, na rogu, drzwi się z pustej już jakiejś restauracji otwierają, ktoś wychodzi, zastępuje im drogę. Płaszcz rozpięty, rzucony na ramiona, włóczy się bokiem po ziemi, kapelusz krzywo wtłoczony na głowę, jedna krysa opuszczona na dół, druga sterczy do góry, wierzch z boku tak zgięty, że połową wystaje gdzieś w tyle, kołnierz pół podniesiony, rękawy rzucają się po bokach; ustać na nogach nie może, zatacza się, ręce przed siebie wyciągnął, głowa ciężko mu się dźwiga i znowu opada. Oparł się o słup starej latarni, rozkraczył nogi. Mówi coś.

Pan rejent z żoną tak się przerazili, że niczego nie słyszą; coś jakby ich wmurowało w chodnik. Dopiero po chwili rejent poznaje Waracza.

— W imię Ojc...

Waracz oparł się silnie o lampę i trzęsącym się, pijackim głosem deklamuje:

... „Umrzeć, zasnąć

I na tem koniec. Gdybyśmy wiedzieli

Że raz zasnąwszy, zakończym na zawsze

Boleści serca i owe tysiączne
Właściwe naszej naturze wstrząśnienia,
Kres taki byłby najpożądanym“

— Ależ panie Waracz!

... „Umrzeć, zasnąć, zginąć!“

Waracz zatoczył się koło słupa.

Rejentowie chcą go obejść, zabiega im drogę,
rozkrzyżował ręce:

... „Może śnić? — w tem sęk cały, jakże bowiem“...

— Panie Waracz co to ma zna...

— Dajże spokój, bo cię jeszcze uderzy!

Aptekarz postąpił krok naprzód:

— Panie Waracz proszę...

... „bo któżby

Ścierpiał krzywdę i zniewagi świata“.

Chwilę wszyscy stoją; Waracz coraz więcej się
zapala.

— No, te, coś podobnego! przejdźmy, cóż to...

... „któżby dźwigał ciężar

Nędznego życia i pocił się pod nim?“

Chcą przejść, ten znowu zatoczył się na środek
chodnika.

— W tej chwili, te...

— Niechże pan aptekarz nie idzie do niego, bo
z pijakiem... Jezus Marja! byłby pana ręką uderzył.

Rejent zaczyna się trząść:

— Cóż to? Gdzie jest Walenty? pewnie znowu
śpi w jakiej bramie — stróż nocny! Niech się pan,
te, w tej chwili...!

Waracz wysunął się naprzód. Wszyscy się cofają. Rejentowa chce skrócić w bok — widzi to Waracz :

... „Nimfo w modlach swoich
Pomnij o moich grzechach !“

— Matko Boska : bo on się na mnie jeszcze rzuci !

Aptekarz zasłonił panią rejentową, przystąpił do Waracza :

— Niechże się pan...

Ten wytrzeszcza oczy, uśmiecha się ; czkawka go chwyciła :

— Ha, co ? widzisz Ku-lisa ! a to dopiero-o prrróba ! Czekaj jutro ! Zdębieje mój stary piernik notariusz, zdębiejee, ha, ha-a !

— Co ? on mnie pier...

— Nie zaczynajże ! Panie aptekarzu !

— Pier...

— Dajże spokój !

— Mnie, mnie...

— Na miłość Boga, nie odzywaj się !

Waracz śmieje się urwanym, schryplym głosem :

— No coo ? Czekaj, jeszcze ten ruch : „Niechaj ci nieba jej nie pamiętają“. Laertes stanowczo źle umiera !

— Obejdźmy go państwo bokiem.

— Ale to, te, proszę...

— Zaklinam cię, daj spokój ! Chcesz nieszczęścia ?

— Nie ciągnij mnie, cóżeś zbzikowała ? !

— Dziękuję ci, grzecznyś.

— Bo już, te, jak honor szanuję!... 'Pier...

— Panie aptekarzu!

Waracz zatoczył się, łypie oczami:

— Ani chwili już tu nie zostanę, mam dosyć tej budy koł-tuńskiej! Dławiłem się tu-u dwa lata. Widzisz Kulisa, mówiłem ci! Wiecha świetnie! Kaliban dymaj na scenę za-czynamy!

Nagle zmienia się, kurczy, głowa mu leci.

— Popatrz Kulisa:

„Żegnam cię matko nieszczęścia
Wam co tu stoicie bladzi i drżący
Mógłbym ja...”

— Dosyć tego.

Pani rejentowa zaczyna szlochać:

— Rób już co chcesz!

Aptekarz przystępuje do Waracza:

— Świetnie! Tak, jak Kulisa: jak to dalej idzie?
Ustąpimy na bok, siądziemy w krzesłach.

Rejentowie przechodzą bokiem. Ona uczepiła się go mocno za rękaw i ciągnie go na środek ulicy; rejent, o mało co, a byłby się przewrócił na bródzie zaschniętego błota. Poprawia zesunięty z łysiny cylinder:

— Nie ciągnijże, do licha!

— No już, już: dosyć mi nagadałeś, wstyd!

— Bobyś się niewtrącała w nieswoje rzeczy;
on mię pier... nie, te, to jest już...

— Nigdy się już słowa nie odezwę !

Notariusz prostuje zmięty rękaw :

Aptekarz zaś tymczasem obrócił w drugą stronę Waracza ; tłumiąc śmiech, mówi do niego.

— Jeszcze raz — właściwie dalej ; jak to tam idzie ?

Waracz ustawia się, aptekarz dopędza rejentów.

Przez chwilę zdaje się Waraczowi, że wszyscy czekają na skończenie sceny ; słyhać nawet syk lamp i trzask krzeseł ugniatanych ciężarem ciał. Tak, teraz... Prawda, ma umrzeć... Ściemnia się... Trucizna działa... Czuje ją w ustach, w gardle... Na wargach jakiś gorzki posmak, z żołądka bucha odurzająca woń, pali wnętrzności, zalewa płomieniem piersi, tamuje słowa...

Określił się około słupa, chwieje się, wyciąga rękę :

„Żegnam cię Horacy ;

Potęga jadu mroczy zmysły moje.

Angielskich posłów już się nie doczekam !

Lecz przepowiadam ci, że wybór padnie

Na Fortynbrasa. Za nim konający

Głos daję ; powiedz mu to i wyjaśnij

Co poprzedziło. Reszta jest milczeniem“.

Jeszcze niżej się zwiesił, dłoń, złożona na piersi bezwładnie opada. Drgnął, rozglądał się na wszystkie strony, wyprostował się, zachwiał, dźwignął się znowu, oczy potoczyły się po zalanej światłem ulicy, ręka zakreśliła rezygnacyjny, pijacki ruch, z ust z czkawką szept urwany wybiegł :

— „Reszta jest milczeniem“.

Parę minut stoi, jakby czegoś wyczekiwał, słucha, zapina płaszcz, wyciąga się, usta mu się krzywią śmiechem, coraz szerszym, szerszym; poderwał się, zaczepił o kamień, zachybotał się, stanął, szyję naprzód wyciągnął :

— Milczeniem !... No i ?... ha, ha, ha.

Mroki przyczajone w zaułkach ulic chichocą przyduszonym śmiechem.



Pana Józefa budzi przejmujący chłód. Otwiera powieki, przemyka je, znowu otwiera; nie może uwierzyć swoim oczom. Śni jeszcze pewnie. Przeciera twarz rękę, siada na łóżku. W pierwszej chwili nie może się zorientować co się stało.

Na środku pokoju kapelusz, płaszcz zaczepiony o krzesło leży przez połowę na ziemi, kilkanaście jakichś kartek na podłodze, przy łóżku połamany kołnierzyk i krawatka, manszety gdzieś w drugim końcu pokoju, jeden bucik obok krzesła, drugiego na razie nie może znaleźć.

Zrywa się z łóżka. Drzwi od sieni otwarte, od ogrodu również. Idzie parę kroków, lecz w tej chwili uczuwa zawrót głowy, ból w krzyżach, nogi jakby mu kto ciężkimi łańcuchami poplątał, w ustach jakiś gorzki posmak, ręce mu się trzęsą.

Opiera się o poręcz łóżka, zbiera z trudem myśli. Chory jest? Co, w ubraniu? Czyżby wczoraj może zemdlął?

Zamyka drzwi, wlecze się z powrotem do łóżka, wyciąga zegarek. Za dziesięć minut szósta. Zaczyna w kółko bezmyślnie powtarzać: szósta, szósta! Głowa mu leci, usta pieką, język oblepił jakiś gęsty, gorzki szlam; gardło wyschnięte, pragnienie ściska mu wnętrzności, przepojone jakimś onieprzytomniającym odorem; nie może wstrzymać ciężko opadających powiek, które na nowo zaczynają się zesuwać, wtłacza się w siebie, garbi, wygina, prawie we dwoje łamie, sztywnieje...

Głowa zaczyna się chwiać na wszystkie strony, wreszcie, jak podcięta, opada i uderza o poręcz żelaznego łóżka.

Pan Józef przytomnieje, rozgląda się naokoło siebie.

W pokoju zimno, sprzęty wyglądają jak niewyspane, drzwi od szafy się otworzyły; jeden stółek leżący na ziemi jakby omdlał, dźwignąć się nie może, odłamana noga mu zeszywniała; niedosunięta szuflada od stolika zdaje się ziewać z jakiegoś zmęczenia. Lustro powlokło się całe parą, pod piecem, na drewnianym stołeczku błyszczy się w słońcu blaszana koneweczka na herbatę; z przyprószonych złotem promieni kątów pokoju, rozchodzi się po całej izbie szczególna woń, która mąci zmysły i jak dym wygryza oczy, tak, że ciągle przymykać je musi. Powoli oswaja się z tem, otwiera szerzej powieki, zaczyna szybko niemi mrugać, usuwa palcami z kątów ocz

zaschnięty, stwardniały osad, zwilża językiem zapiekle wargi ; tak parę razy. Potem w jednej chwili zrywa się z łóżka — zaczyna sobie przypominać.

Nie, przecież prawie nigdy !... Wzrok jego pada na pomięte ubranie, na płaszcz rzucony prawie na ziemię, na but pół rozwiązany, w którym spał, następnie na rozrzucone po podłodze kartki. Rola !... I w tej chwili wczorajszy dzień staje mu przed oczami. Dreszcz nim wstrząsa, podchodzi do karafki z wodą, pije, potem siada na łóżku, głowę ujmuje w dłonie. Musi przymknąć oczy, bo pokój cały zaczyna wirować w szalonym tempie, kręcić się, walić, zataczać, zwężać się, wydłużać, to znowu rozszerzać tak, że dojrzeć nie może przeciwległej ściany, po której na czworakach pełza cień jakiś, zaciemniający mu żółtą mgłą pojedyncze sprzęty, walące się bezszelestnie w szeroką, czarną czeluść, która otworzyła się w środku podłogi.

W pulsach zaczyna mu się tak tłuc, że jakieś dzwoniące, ostre echo słyszy w każdym nerwie. Uspokaja się, świadomość zaczyna powracać, a z nią cały wczorajszy dzień, cały tydzień oczekiwania, męki i nadziei ; scena z Kuliskim, przedstawienie... Tu zaczynają się rwać mu myśli, plątać ; pamięta jeszcze ten krzyk na galerji, świst chłopaków, który go teraz gdzieś z dala dochodzi... I on gwizdał... Kuliski się kłaniał. Potem... zaraz... potem był za miastem, nie, szedł ulicą, pragnienie go dusiło, wstał gdzieś do jasno oświetlonych drzwi...

Waracz otwiera oczy, pokój przestał się kręcić, porzucone sprzęty zdają się czegoś wyczekiwać. kartki z roli lekko drgają w chłodzie porannym, wpadającym do wnętrza pokoju przez szeroko otwarte u góry okno.

Panu Józefowi się zdaje, że to nie kartki, ale jakiś mały, drogi, kochany trupek, którego już nic do życia zbudzić nie może. Porywa go taka żalność, że nie może uspokoić falujących piersi, dygotania na całym ciele. Nie może się zorientować co się stało, bezświadomie tylko czuje, że na podłodze leży w ostatnich drgawkach cała nadzieja jego dwu lat, leży i czeka, kiedy ją ktoś sprzątnie i wyrzuci na śmietnisko... Czemu, za co, dlaczego, nie wie i tembardziej mu żal, a nic nie pomoże, nic już...

Organizm wyczerpany od wczoraj głodem i alkoholem zaczyna urywkowo, półświadomie pracować, streszcza się w jakimś dziecinnym rozczuleniu, w bezradności, w niemocy, która mu się nawet z łóżka dźwignąć nie pozwala. Zmęczona kamiennym snem myśl, skupia się tylko w tych kilku kartkach, posiniąłych w poblasku słonecznym i drgających w chłodzie wiosennym. Panu Józefowi niespodzianie na pamięć przychodzi śmierć matki, której kilkanaście lat przedtem nie widział. Była wiosna, przyjechał nad ranem; okno było otwarte; pierwsze promienie słoneczne padły na zastygłą od paru godzin, drogą, chudą twarz. Siedział obok łóżka, zmęczony nieprzespaną

nocą, i patrzył, patrzył, jakby chciał w pamięci na długo utrwalić każdy rys jej twarzy. Za oknem, tak samo jak teraz, prześpiewywały się zmoczone rosą przebudzone ptaki. Nagle zdawało mu się, że twarz zaczyna drgać, kurczyć się, powieki się wyciągnęły, usta rozwarły. Zerwał się z krzesła...

Pan Józef stoi koło łóżka ; szelest przewróconej wiatrem kartki go otrzeźwił. Przez chwilę jeszcze w leżących kartkach widzi rozwarte, sine usta ; wyglądają się, prostują, czarne litery patrzą się, jak szereg ruchliwych, drobniutkich robaczek.

Myśl prawidłowiej zaczyna pracować. I znowu powraca mu, teraz jednak z wyraźniejszą plastyką, cały wczorajszy dzień. Pod wpływem przypomnienia sobie najdrobniejszych szczegółów kuli się, jakby pod ciężarem razów, padających na niego. Potem porywa go jakiś wstręt, czuje gorzką ślinę na wargach, zaczyna oglądać swoje ubranie, nieład w pokoju.

Pod oknem na lipie świergot rozbawionych wróbli ; na ulicach zaczynają turkotać wozy, słysząc coraz wyraźniejszy gwar ludzi.

Podnosi wyżej głowę ; twarz ma tak zestarzałą, jakby w tej jednej nocy przeżył lat kilkanaście, oczy ciągle jeszcze mgłą zachodzą, głowę rozsadza świdrujący ból.

Postąpił parę kroków, oparł się o szafę, patrzy przez okno, potem zaczyna powoli zbierać porozrzu-

cane rzeczy. Wiesza płaszcz, składa kartki, kładzie je na stole, poprawia ubranie, siada na łóżku, chcąc wciągnąć drugi bucik. Żałość dziecinna, bezradna znowu powraca. Myśli: Skończone! Ha!... Obszedł się ze mną...

Z rąk but mu wypada.

Wszystko! Zaraz... co to potem?... Zdaje się, że z Wiechą na ulicy... spotkał się w restauracji... Jakaś próba... przedstawienie? Nie, śniło się...

Twarz z każdą chwilą zdaje mu się więcej stażeć. Wsparł się o poduszkę, patrzy w sufit, usta mu się ściągają. Odwraca głowę, oczy bezmyślnie padają na zegarek: Pół do siódmej...

Z jakimś zrezygnowanym ruchem wstaje, ubiera się, czyści. Ból w czaszce nie ustaje.

Pod oknem gwar coraz większy.

Automatycznie, chodząc na palcach, jakby bał się stuku, ubrał się, umył; nie wie znowu co robić. Opiera się o ramę okna. Po twarzy zaczynają mu przebiegać skurczami wszystkie stany i czynności duchowe, jakiś bolesny proces wibrowania i powtarzania tego wszystkiego, co przez cały tydzień przeszedł; odnawia się wszystko w nim znowu, myśl złamana zawodem, wola bezsilnością, jakieś trawiące wspomnienia dawnej wiary, zapалу i dawnego pędu życiowego i świat teraz nowy, który dźwiga się ciężko wewnątrz, aby stanąć górą między nim, a czemś, co znowu stracił, krzywi mu twarz, przyciemnia oczy,

odbiera mu ciągle, nieustannie, po kropelce, ostatnie szczątki nadziei w świat, w ludzi, w siebie.

Słońce, które wprost w twarz ma świeci, zaczyna parzyć policzki.

I nagle na myśl mu przychodzi, jak komicznie musiał wczoraj wyglądać w nocy. Wiecha pewnie do domu go zaprowadził...

Jakby się wstydził sam przed sobą, odchodzi od okna, odwraca się od lustra, przystaje. Przypomina sobie słowa Wiechy: ... „karykatura, nikomu nie przydatna, chyba jakiemuś humoryście do kawału“. Pewnie, żeby tu jaka humorystyczna gazeta była, byliby go już dawno „unieśmiertelnili“.

Wydaje się sobie tak śmiesznym, że dla rozpełnienia tego wrażenia, zaczyna wolno się włożyć z kąta w kąt, następnie otwiera drugą połowę okna.

Na ulicy ruch coraz większy. Ktoś rozmawia na ganku. Pan Józef słyszy kilkakrotnie swoje nazwisko. Przesuwa się bliżej, chowa głowę w głąb pokoju, z boku tylko do ramy przykładą ucho.

— Nasz Waracz? niepodobna!

— Ta mówię pani; mój stary, który coś tam pożyczył na te kumedyje, był wieczór i sam widział! Uślachcił się tak, że niech to ręka Boska broni.

— Taki porzomny człowiek!

— Moja pani, kuźdy chłop to jednaki! bez baby i bez wódki ani rusz!

— Ale żeby...

— A zataczał się! Mój tylko patrzył, czy trafi do domu.

— Patrzcie, patrzcie? anibym...

Pana Józefa jakby coś od okna odrzuciło. Skulił się, policzki pod oczami mu sponsowały. Wyciągnął ręce w stawach tak silnie, że aż zatrzeszczały, nogi nagle mu wrosły w ziemię, jakoś się wydłużają w dół, gdzieś za podłogę tak, że w kolanach mu coś rwie się, piersi zaczynają silniej pracować. Otwartymi ustami wychodzi woń niby przypalonego alkoholu. Wstrętne! W całym pokoju wyraźnie ją czuć; nawet ubranie, całe ciało, jakby się skąpał w wódce.

Na ganku rozmowa nie ustaje. Pan Józef słyszy:

— A niech go ta pani dzisiaj wcześniej zbudzi, bo pewnie śpi jak kamień i gotów nie słyszeć, jak mu pani śniadanie zanieś. Ale co się urznął, to się urznął, jak to mój powiada: ściął się jak bąk w tatarce!

— Hy, Hy, Hy!

— Będzie tam pani miała robotę z ubraniami, no!

Pan Józef ma wrażenie jakby go kto bił po twarzy; ucieka na koniec pokoju, zatyka sobie uszy, formalnie się skręca, wygina jak pod uderzeniami, które mu ktoś bezustannie wymierza. Nieznośna, wstrętna, dławiąca, ostra woń wiruje wraz z pyłem słonecznym po pokoju, wkręca się nieustannie do ust, oczu i nosa, świdruje w mózgu...

Nalewa szklankę wody, wypija, potem drugą, roztwiera z trzaskiem wszystkie części okna.

Siódma za dziesięć. Pewnie zaraz przyniesie śniadanie. Nie, absolutnie teraz nie chce się z nią spotkać.

Ubiera płaszcz, szuka kapelusza.

Ktoś wali pięścią w drzwi.

— Proszę. Cóż to pani Walentowa dzisiaj tak silnie?

Trzeba coś powiedzieć, nie dać znać po sobie. Pani Walentowej ze zdziwienia imbryk z kawą tańczy na blaszanej tacy; sunie do stołu, rozgląda się po izbie, stawia kawę, obciera ręce o boki niebieskiego fartucha.

— Myślałam, że pan spi jeszcze. Ubrania nie potrzeba?

— Nie, już wyczyszczone, bo dzisiaj wcześniej wychodzę.

Walentowa wychodzi z pokoju. Pan Józef zamyka drzwi za nią, słyszy, jak mruczy:

— Zelgał jak pies! a ta dzióbata zaraz w dyrdy z bajkami.

Panu Józefowi lżej. Pije kawę, bułki chowa do szufladki, nakręca zegarek, ogląda się w lustrze; w tej chwili wyjdzie.

Rozmowa, którą usłyszał za oknem, wejście Walentowej, rozprószyły na chwilę jego myśli; zapomniał o wczorajszym dniu, pochłonięty na razie tem tylko, żeby zatrzeć ślady i zmylić żonę gospodarza, która spodziewała się go znaleźć pewnie

gdzieś pod stołem. Teraz, kiedy ma wyjść, powraca wszystko na nowo. Twarz znowu błyskawicznie się starzeje, świadomość na chwilę czem innem zgłuszona, staje przed nim, natrętnie nasuwa mu najdrobniejszy szczegół z ubiegłego tygodnia, nieledwie każdą myśl jego, przeczucia, nadzieje i ten ostatni wieczór fatalny. Ból w całym ciele i jakieś uczucie upokorzenia, wstydu, zawodu, sący się i rozlewa po piersiach, odejmuje władzę we wszystkich członkach.

W płaszczu i kapeluszu na głowie stoi bezradnie obok stołu, ręce mu opadły, głowa w ramiona się wtuliła. I znowu na pamięć przychodzą mu słowa Wiechy, a z nimi poczucie swojej tu teraz pozycji, powrót do tych wszystkich codziennych uwag uszczypliwych, dowcipów i żartów. Teraz po tem powiedzeniu Wiechy, tem wyraźniej rozumie te uśmieшки w kątach ust i uniżoną grzeczność tutejszej „inteligencji”; a miasto całe aż się trzęsie od anegdotek o nim. Znowu będą mieli co opowiadać; wiedzą pewnie, że to on na galerji...

Pan Józef postąpił kilka kroków, kładzie rękę na klamce, ściśnięte usta mu się otwierają:

— Ha...!

Otworzył drzwi, wyszedł na ganek, popatrzył na zegarek! punkt siódma. Zstępuje po schodkach powoli, jakby mu kto na barki włożył ciężar, skręca zaraz w bok, wychodzi połą drożyną za miasto na swój zwykły spacer.

Przez jedną noc, nagle się wszystko zmieniło pod czarodziejskiem tchnieniem ciepłego wiatru i silnych promieni słońca. Liście prawie się porozwijały, krzewy obsypały się pękami przyszłych kwiatów, z pod ziemi wy dostał się cały las świeżej, jasnozielonej trawy, przetykanej tu i ówdzie śnieżyczkami, dzikie agresty poroziadane przy drodze, ubrały się już prawie całe w drobne listki. I to wszystko przez jedną noc. Różowe jeszcze promienie słońca padają ukośnie, strzałami się gonia po polach, długie, niebieskawo-czerwone cienie kładą się po brunatno zielonych brózdach, przyprószonych delikatnem szkliwem; piaszczysta wydma pod lasem nasiąkła cała złotem, na moczarach miliony ruchliwych ogników. Niebo bez jednego strzępka chmury; na zachodzie, lśni się jeszcze niepewnem srebrem oślepego księżyca, który nie zdołał jeszcze uciec przed kłującymi go grotami młodego słońca.

Powietrze aż trzęsie się od gwaru rozochoconych ptaków i pierwszych, przebudzonych do życia owadów.

Kiedyindziej byłby pan Józef, jak zwykle, uśmiechał się, dziwił każdej świeżej trawce, każdemu nowemu pączkowi na drzewie, rozgrzebywał butem ziemię, szukając czy wszystkie ziarenka puściły, krzywił się do słońca i jak zwykle spóźnił się potem do kancelarji; dziś idzie, jakby go kto z tyłu popychał, nie patrzy na *nic, nic go zdaje się nie zajmować.

Nie czuje nawet ciepłych promieni słońca, bo płaszcza nie rozpiął. Wlecze się powoli, ciężko, nie podnosząc głowy, twarz mu ciemna, gęsta chmura przysłoniła. Sam nie wie czemu, ale ciągle staje mu przed oczami mały pokój, z śmiertelną pościelą matki. A kiedy to minie, nasuwa się wstrętny, ubiegły tydzień. Tak to prędko minęło. Pan Józef chciałby, żeby się tak raz jeszcze powtórzył; teraz wie już, mógłby się inaczej może urządzić. Choć i toby nie pomogło; ot wina w tem, że jak Wiecha mówi, zeszło się z posterunku. Podle się zeszło: I teraz znowu powrócić do tego... Nowy mają temat... Żeby tylko rejent o wszystkim się nie dowiedział.

Dreszcz go przebiegł. Nie... nie widział go. Tylko z tym krzykiem!... Trzeba to jakoś wytłumaczyć. Widzi już naprzód swoją minę, słyszy głos rejenta. Jaki z człowieka zrobił się podły lokaj, dla tych psi marnych groszy... Ciekawe kiedy wyjeżdżają? Najprawdopodobniej o jedenastej. Pewnie Wiecha wpadnie...

Myśli o tem i odczuwa znowu ściskanie w piersiach... Nie może sobie wyobrazić, jak teraz będzie mógł żyć bez tych wieczorów w garderobie, bez Wiechy, bez nadziei, która mu cały tydzień sił dodawała, jak będzie mógł wytrzymać między tutejszymi znajomymi, którym przybył nowy powód do słodkich uśmieszków, jakimi będą go po ulicach witali... Trzeba jeszcze parę miesięcy zaciskać zęby, a może przecież jakoś inaczej... Jak ten tydzień zleciał!

W myślach znowu nagle, zupełnie bez powodu, rysuje mu się pokój, skromne łóżko łóżko i zwłoki matki. Na miesiąc przed śmiercią pisała: „Ej Józiu, namyśl się i porzuć scenę! Jeszcze jest czas; masz prawie całe gimnazjum skończone, scena ci nerwy zjada, bo nikt tak prędko się nie zużywa, jak aktor; ale to wszystko może się jeszcze wrócić. Nie robię ci wymówek, żyję, jakoś niczego mi nie trzeba, o wygody nie dbam, ale lepiejby mi było na starość przy tobie, jak u obcych. A tak? Nie wiem nawet, że mam syna, od pięciu lat cię znowu nie widziałam, a mam przecież tylko ciebie. Namyśl się Józiu. Potem, jak całe życie przegrasz za kulisami, jak zjedzą ci siły walki cowieczorne, poznasz, że szkoda cię było. Namyśl się!”

Nie namyślił się — nie mógł!

Potem upłynęło kilkanaście lat, miał swoją trupe, a potem tu przejechał. Zapomniał o tym liście, aż znowu dzisiaj, niewiedzieć skąd, przyplątało mu się wspomnienie. Przypomina sobie, że jednego wieczora, tuż przed przedstawieniem go dostał. Zapóźno go doręczyli, bo przyszedł do miasteczka, z którego właśnie wyjechali. Zastał ją już bez ruchu, cichą, jaką przez całe życie była, w taki, jak dzisiaj, wiosenny poranek...

Panu Józefowi robi się gorąco, pod oczami; zaczyna szybciej iść, rozglądać się naokoło, powieki mu się rozszerzają, słońce czarną chmurę z przed ocz usunęło, widzi cały cud wiosennego przepychu

i lżej mu się robi. Ha! — trudno. Nie ma co, tylko tu jeszcze jakoś przetrzymać. Szczęście, że ma to chociaż, bo cóż by w takim razie?... Cudnie!... Pewnie i rejent będzie się krzywił. Nie długo, bo mu potrzebny. Ciepło jak w maju... Pół do ósmej. Za daleko zaszedł. Czas już.

Pan Józef wraca. Im bliżej jednak jest miasta, tem wyraźniej zaczyna odczuwać lęk jakiś przed czemś, czego narazie nazwać nie umie. Przed tym lękiem wszystko ustępuje, zapomina o Kuliskim, o liście, o Wiesze; boi się spotkać z którymś znajomym, czuje, właściwie zdaje mu się, że specjalnie dziś go wyczekują, aby go przywitać. Z uczuciem lęku zaczyna mieszać się złość i pogarda do tego całego miasteczka, nawet za to, że się już z niem zaczynał zrastać. Najgorzej aptekarz!... To już w ich fachu; kręci piguły i kpi ze świata, że da się oszukiwać. A zawsze słodko uśmiechnięty, uszczypliwy jak osa i paskudnie spocony... A ten askultant wyperfumowany, podrygujący, jakby miał buty za ciasne... Albo ten ciągle mędrkujący, rozlazły pocztarz!... I teraz po tem wszystkiem wrócić między nich?!...

Pan Józef czuje, jakby mu się coś na dnie żołądka rozkręcało. Nie umie się nawet bronić — zresztą, jakżeby mógł się ośmielić. Pisarz! najwyczajniejszy pisarz i koniec.. Żeby go tylko rejent... Nie, to niemożliwe, zresztą, wie, że rozmawiał z Wiechą, pokazywał mu nawet jakiś ruch na ulicy...

Dochodzi do miasta. Na ulicach gwar, tłumy dzieci biegną do szkoły. Na parkanie afisz przedarty Pan Józef zerknął na niego, lecz w tej chwili odwrócił głowę, idzie, skulił się, nie patrzy przed siebie. Myśli: Zresztą szczęście, że chociaż to ma; teraz takie podle czasy. Z siedmioma klasami gimnazjalnemi zawsze gdzieś przyjmą, to prawda, ale i to z nieba nie zlatuje, zwłaszcza, jeśli się jest starszym. Ech, tych parę miesięcy! Nawet lepiej, że w takim małym miasteczku...

— Przecież! myślałem, że cię już nie znajdę!

Pan Józef, jak ukłuty iskrą elektryczną, odwraca się: Wiecha! Pierwszy raz od czasu jak go zna, czuje się w jego obecności zażenowanym, nie patrzy mu w oczy:

— To ty?

— Byłem u ciebie w mieszkaniu, gonię po mieście, bo chcę się z tobą pożegnać.

— Kiedy wyjeżdżacie?

— O dziewiątej.

— Tak?

— Taka wola pana „dyrektora“. Dziś wieczór gramy już w innej Abderze.

Idą razem. Wiecha ani słowem nie wspomina o wczorajszym zajściu. Pan Józef odczuwa do niego rodzaj wdzięczności za to; sam chce tego uniknąć.

— Kto wie kiedy się znowu zobaczymy?

— Może nigdy!

— Przecież ?!

— E!

— Ot jak teraz...

— Nic nie wiem, tylko to, że tak dalej nie wytrzymam ! A końca nie widać.

Wiecha jest blady, poirytowany ; musiał mieć znowu awanturę z Kuliskim. Podrzuca, jak zwykle w takich razach, jednym ramieniem, wykrzywia w bok wargi, potem wybucha :

— Jeszcze kilka lat, a potem ? Krzyczy się u nas : aaa ! teatr prowincjonalny ! kulturalna potrzeba narodu, konieczność cywilizacyjna ! Tak, potrzeba ! — dla Kuliskich, żeby zbijali monetę, okradali aktorów i zmieniali kochanki jak brudne skarpetki ! psia krew, a nikt nie pomyśli, co się potem dzieje z tymi przedstawicielami tej „kultury“... Dziady, bankruci, defraudanci, stróże, ex-feldfeble mają na starość swój przytułek, aktor prowincjonalny, jeśli wola, może sobie zdechnąć pod płotem i ani pies nie kichnie. Ha, pewnie ! miłość dla sztuki, poświęcenie ! Bodajbym był hyclem został...

— Co ci się stało ?

— Nic, to co zawsze. Kulisa ścierpieć mnie nie może, widzę to na każdym kroku ; ja zresztą sam czuję, że jestem nieznośny jak wściekły kundel, sam nie wiem, czego od świata chcę, robię chwilami nawet tam tragedję, gdzieby, ot plunąć i kwita. Aktorem, podłym aktorem, do diabła jestem już nawet poza kulisami.

— Ale przecież zostajesz ?

— Tak, to przecież już ostatni teatr! Ta buda ludowa, o której ci wspomniałem, znowu się podobno rozleciała. Jak tylko jednak zobaczę, że fikać na scenie mi trudno, pewnego wieczora, zamiast wody z cukrem, łyknę prawdziwego arszeniku i finita la comoedia! Melodramatów gramy dość! Wybiorę tylko najuczciwszego autora. Lepiej mi będzie zdychać, bo pomyślę sobie, żem raz przynajmniej dojadł Kulisie i narobił mu kłopotu! Zamiast rękawiczek Pindulińskiej lub innej jakiejś, będzie musiał sprawić pogrzeb. To będzie jedyne, co mi za ten cały czas zafunduje!

— Rozdrażniony jesteś i dlatego tak mówisz!

— Może nie mam racji? Popatrz się co się dzieje z tymi wszystkimi, co przez całe życie jak psy wierne służyły scenie! jak psy też zdychają lub siedzą u kogo na łasce. A jakie to wszystko podle śmieszne! Jak stare kokoty! Pretensje do całego świata i żal głupi. Pewnie; przecież się ma we łbie całe tomy, naszpikowanym się jest poezją, ideałami, jak zając słoniną! Było się rozsądnikiem kultury, boskim pośrednikiem między widzem, a duszą autora, burzyło się trony, władało serc tysiącami! Tfu! mówię ci stary, skoroś się już wzwyczaił, to siedź tutaj, trzymaj się rękami i nogami tego, co masz, psia krew, nie myśl o tym całym tramwaju, bo on tego twojego zacnego serca nie wart. Jeśli tam co masz jeszcze wewnątrz, to uratujesz.

Dochodzą do domu rejenta.

— Musisz już iść?

— Zaraz ósma.

— Ładnie się z tobą żegnam, ale dziś już nie wiem co mi stało.

Pan Józef chce mu jakoś podziękować za to, że się nim zajął, że go wczoraj pewnie aż do domu odprowadził, jakoś nie może.

— No, bądź zdrow, mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy w innem, niż dziś usposobieniu.

— Może.

— Będziesz widział. Koniecznie chciałbym cię na kolej odprowadzić, ale nie mam czasu.

— Bądź zdrow stary, a nie bierz mi tego za złe; mam taką naturę, że muszę ze siebie wszystko wypłuć, bo mi potem lepiej oddychać. A nie mam przecież nikogo. Zostałbym tu jeszcze parę dni z tobą.

Pan Józef cicho mówi:

— I ja także.

— Odpocząłbym, bo już tak piekielnie jestem zmęczony, że ledwo pedałami macham. Zestarzał się człowiek, tfu i ani nie spostrzegł kiedy.

Trzymają się za ręce.

— Aha, kazał ci się Kaliban kłaniać. Dostał dzisiaj na „dzień dobry“ tak w zęby od Kuliskiego, że mu oko spuchło. Od tego się też cała awantura dzisiejsza zaczęła. No, vale! Pamiętaj o mnie i naucz się kpić ze świata.

— Bądź zdrów Wiecha!

— Servus, a trzymaj się!

Pan Józef idzie parę kroków, potem nagle się odwraca, robi ruch jakby chciał zawołać Wiechę, chwilę patrzy za nim, kark mu się zgina, maleje cały, powoli zawraca i wchodzi w sień.

W kancelarji pusto. Sekretarza niema jeszcze. W powietrzu wilgotny zapach pokoju dawno niewietrzonego, kurzu dopiero co zmiecionego, pożółkłych ksiąg i skryptów, strzępami zwisających z półek i „fachów“, ciągnących się od podłogi do sufitu i ten specyficzny odór kancelaryjny. Krzesło wsunięte pod biurko sekretarza, stół jego i kilka krzeseł pod ścianami, sztywnych, wyprostowanych, przygotowanych już do urzędowania, zdają się wyczekiwać codziennej swojej funkcji. Po papierach, tu i ówdzie porozrzucanych, złotymi palcami bawi się świeże słońce.

Cicho jest i chłodno.

Pan Józef rozbiera płaszcz, rozgląda się po pokoju, który dziwnie mu się dzisiaj obcym wydaje, potem wyciąga przymięte spodnie, ogląda się w lusterku. Tak, nie widać; tylko plamy w końcach policzków! Na myśl przychodzą mu znowu słowa Wiechy: „Nawet nie dziwne, że aktor tak prędko się starzeje; życie prędzej go zjada niż innych. A co się tyczy tej śmieszności, to jasne: czas-padlec na jednym policzku koniecznością sposobu życia, ryje

mu cichy, gorzki dramat, na drugim najtrywialniejszą, cyniczną farsę. A z duszą potem, to tak jak u mnie: obchodzi z daleka, bo jak trącis, to tak zasmrodzi ognistymi ideałami, którymi co wieczór się obłykałeś, że tylko uciekać i — niech to wszystko razem choroba!”

Pan Józef, jakby dla przekonania się o prawdziwości słów Wiechy, ogląda jeden policzek, potem drugi, podpuchłe oczy i spalone wargi, następnie chowa lusterko i mruczy:

— Zgorzkniał i tyle! zresztą w takich stosunkach! A przecieży nie ustąpił. Ale rację ma.

Lusterko znowu błyszczy się pod nosem pana Józefa. Żeby tylko nie poznał. A z tą awanturą, to przecież jakoś się wykreści. Choć to niemiła historia, niemiła!

Podchodzi do swojego stołu. Dziwnie mu tu dzisiaj obco; ma wrażenie jakby przypadkowo, zupełnie niepotrzebnie się tu przybłąkał i nie wie teraz co ze sobą zrobić. W dodatku odczuwa jakiś śmieszny lęk, żeby tylko za głośno nie postawić stołka, lub czego nie trącić. Opiera się o poręcz stołka, zakłada nogę na nogę, czuje jak w zgięciach z wyczerpania żyły mu się trzęsą. Siada: ręka, którą wyciągnął po jakieś papiery, opada z powrotem, zanim ją doniósł; ma uczucie ptaka w klatce, który dopiero co został schwytany, zanim mógł się nacieszyć wolnością.

Pod drzwiami szmer kroków. Pan Józef pochyla się nisko nad stołem. Wszedł sekretarz.

— Dzień dobry.

— Padam do nóg.

Od ostatniej rozmowy sekretarz nie tytułuje go „dyrektor”. Pan Józef sam nie wie właściwie dlaczego, ale dziś specjalnie jest mu za to wdzięczny.

— Pan już tu? Cóż to się wczoraj stało, że pan nie był?

— Słaby byłem, to znaczy, odrobinę... głowa.

— Tak? Ale już...?

— Naturalnie przeszło.

Pan Józef w przelocie chwytając dziwnie jakieś serdeczne spojrzenie sekretarza. Do reszty go to miesza, tem więcej, że przychodzi mu na myśl, czy też przypadkowo nie dowiedział się czego sekretarz na mieście. Zaczyna szybko rozkładać papiery, parokrotnie macza pióro w olbrzymim, poplamionym atramentem kałamarzu. W tej chwili w kancelarii rejenta ktoś krząknął. Pana Józefa dreszcz przebiegł; nie może sobie wytłumaczyć czemu. Krzäknięcie się powtarza:

— Rejent przyszedł.

— Aha.

Słowo to spadło mu z warg tak dziwnym tonem, że sekretarz obrócił się na krześle. Pan Józef czuje gdzieś na plecach jak mu się przypatruje.

W pokoju rejenta miarowy szybki odgłos kroków.

— Pan Józef myśli: Przejdzie, musi się zawsze wysapać. W gruncie rzeczy poczciwy chłop, choć prochu nie wynajdzie. Ale cóżbym...

Drzwi się otworzyły.

— Pan Waracz jest?

— Do usług.

— Proszę pana.

— Służę.

Pan Józef idzie, zapinając machinalnie po drodze tużurek; zamyka za sobą drzwi.

Rejent stoi za biurkiem, oparł się rękami o krawędź, torby pod oczami zaczynają mu się trząść; w ustach mnie wykluwaczkę do zębów. Wyjął ją, policzki mu się zaczerwieniły, odsapnął i głosem przyciszonym, hamując się:

— Te, wobec tego, co wczoraj zaszło...

— ? ?

— Tak, tak, wobec tego wczorajszego skandalu, te, tak jest skandalu, okropnego skandalu powiedzieć można...

— Proszę pana reagenta....

Rejent dłużej już hamować się nie może; wyprostował się, ręce mu drgają, nie patrzy na pana Józefa.

— Mniejsza, te, o te krzyki, ja jestem wyrozumiały, każdy może się te, upić raz, to jest przypadkowo, ale, żeby mnie wobec wszystkich napadać na ulicy i przezywać, nie, te...

— Ja?

— Tak, tak jest, piernik, kołtuńska buda, nie! I za co? Proszę, byłem dla pana zawsze życzliwie, te, a tu nagle formalny napad! domyślam się, co pan o mnie musiał tym, te, naopowiadać i to za to, że...

— Ależ proszę pana rejenta...

— Nie ma o czym mówić! Zwalniam pana zaraz z kancelarji, zaraz!

Panu Józefowi biurko z rejentem przesunęło się gdzieś na drugi koniec pokoju; tylko sukno zielone, na którem leży skrypt jakiś, rozciągnęło się, zaczyna się rozszerzać, rozprzestrzenia się po całym pokoju, faluje, mieni się, przesłania wszystko wkoło, kłuje w oczy, owija go tak szczelnie, że ruszyć się z miejsca nie może, ściska jak zielony wąż gardło.

Rejent wysuwa szufladę, zaczyna liczyć pieniądze.

— Wziął pan odemnie ośm koron to znaczy, że bierze pan miesięcznie koron, osiemdziesiąt, to jest za ośm dni dwadzieścia trzy koron, a więc zostaje jeszcze piętnaście koron. Proszę pana.

Panu Józefowi oczy tak oślepił zielony kawał sukna, który teraz z szaloną szybkością zaczyna wić się po całym pokoju, że nie widzi nikogo, słyszy tylko brzęk monety i sapanie rejenta. W pewnej chwili dostrzega tylko na zielonym wężu kilka srebrnych plam, które lśnią się białem, migotliwem szkliwem.

— Te, to jest proszę pana, tak; przedkładałem

N. 5. 617.60/26364

panu, mówiłem, tłumaczyłem, nic. Zamiast na stare lata się szanować, to te. Byłby się pan tu ustalił i pensja te, a tak widzi pan! Nie moja wina. Będzie to dla pana dobrą nauką. Nie usłuchał pan mojej rady, ale myślę, że to chyba pański już ostatni Hamlet.

Chyba ostatni.

Florencja 1910.

